NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 30 października 1909. Nr. 44.

Świętokradztwo na Jasnej Górze.

(Treść na str. 2)



Świętokradztwo na Jasnej Górze.

Strasznych doczekaliśmy czasów! Targnięto się na największe świętości narodowe, targnięto się świętokradzką ręką na cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na ten obraz cudowny, z którego tyle łask na biedną naszą krainę spływało w ciągu wieków. I gdy się dziś czyta o szkodach materyalnych, wyrządzonych wskutek niesłychanego rabunku, a idących w setki tysięcy, to wydają się one drobnostką, wydają się niczem wobec ogromu szkody moralnej. I nie żal tych prześlicznych pereł, rubinów, szmaragdów, dyamentów, nie żal złota i srebra jako klejnotów bezcennych, ale żal ich jako pamiątek historycznych, dla każdego Polaka i katolika tak cennych i drogich.

Pierwsza wiadomość o strasznej zbrodni świętokradztwa, popełnionej w kaplicy na Jasnej Górze w nocy na ubiegłą sobotę, doszła do Krakowa tego samego dnia wieczór, a w niedzielę rano wiedziano o niej wszędzie. Łatwo zrozumieć, jak olbrzymie i jak przygnębiające wrażenie wiadomość ta wywołała. Początkowo nie chciano jej uwierzyć, tak wydawała się potworną. Niestety jednak, późniejsze wiadomości ze szczegółami zbrodni wątpliwości te rozprószyły.

Wedle dotychczasowych wyników śledztwa, prowadzonego przez władze policyjne Królestwa, zbrodnię spełniono w nocy na sobotę między godziną 11 a 4 rano. Złoczyńców musiało być kilku, gdyż jeden nie byłby dał sobie rady ani z włamaniem się do wnętrza kaplicy, ani następnie z obrabowaniem świętości. Musieli oni też być doskonale obznajomieni z rozkładem świątyni, gdyż działali systematycznie i z wielką pewnością. Po obrabowaniu cudownego obrazu umknęli, zacierając za sobą starannie i umiejętnie wszelkie ślady.

Urzędowa lista skradzionych przedmiotów wykazuje między innymi: 4 bicze wielkich pereł, nawleczonych na grube, srebrne nici, 4 złote emaliowane krzyże *virtuti militari*, nogę złotą *massiv*, ważącą 10 funtów, dalej sukienkę perłową z cudownego obrazu, dwie szczerozłote korony, wysadzane drogocennymi kamieniami, przeważnie dyamentami, oraz mnóstwo drobniejszych klejnotów. Ogółem szkoda wynosi przeszło ćwierć miliona koron. Pogłoski, jakie w pierwszej chwili kursowały w prasie o szkodach, wynoszących kilka milionów rubli, okazały się na szczęście przesadzone.

Komisya śledcza, złożona z kilku urzedników, tworzy osobną kancelaryę, której lokal mieści się w zabudowaniach klasztornych. Urzędowanie trwa dzień i noc, pod kierunkiem szefa warszawskiej policyi śledczej Kowalika. Na ślad zwyrodniałych złoczyńców dotąd nie wpadnięto, choć aresztowano szereg osób, jako podejrzanych o wspólnictwo.

Uzasadnionem zdaje się przypuszczenie, że kradzież popełniła szajka międzynarodowych włamywaczy, przy współudziale rzezimieszków warszawskich lub łódzkich. W śledztwie współdziała bardzo gorliwie ludność miejscowa, którą wieść o świętokradztwie głęboko wzruszyła.

Ludność ta zaraz w sobotę rano, gdy tylko doszła ją wieść straszna, tłumnie zgromadziła się koło klasztoru, podając sobie z ust do ust najrozmaitsze szczegóły. Do klasztoru ani do kaplicy niedopuszczono nikogo, więc pod murami kłębił się tłum



Świętokradztwo na Jasnej Górze: Cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, w perłowej sukience, która padła ofiarą świętokradczego rabunku.



Świętokradztwo na Jasnej Górze: Kaplica na Jasnej Górze w Częstochowie z cudownym obrazem Matki Boskiej.



Świętokradztwo na Jasnej Górze: O. Euzebiusz Rejman.



Konsekracya nowego kościoła w Podgórzu: Duchowieństwo na czele procesyi.



Konsekracya nowego kościoła w Podgórzu: Fragment procesyi po koronacyi.

pobożnych, płacząc ze wzruszenia i złorzecząc zbrodniarzom.

Taksamo wstrząsające wrażenie wywarła wieść o zbrodni w klasztorze OO. Paulinów. Przeor O. Rejman zawiadomił niezwłocznie władze, równocześnie zaś odprawił solenne nabożeństwo na intencyę odnalezienia zrabowanych klejnotów.

Wobec energicznego śledztwa i zawiadomienia wczas stacyj granicznych, spodziewać się należy, iż złoczyńcy nie ujdą rąk sprawiedliwości i że uda się odzyskać skradzione przedmioty.

Konsekracya nowego kościoła w Podgórzu.

Po pięciu prawie latach pracy ukończono w bieżącym roku budowę nowego kościoła parafialnego w Podgórzu. Stanął on na krańcu rynku, na wzniesieniu, zamykając swą gotycką fasadą perspektywę obszernego placu.

Potrzeba wzniesienia nowego kościoła w Podgórzu wyłoniła się już bardzo dawno, bo przed 25



Zgon dyrektora zdrojowiska: Ś. p. Stanisław Mizerski, dyrektor zakładu zdrojowego w Truskawcu.

laty. Zanim jednak zgromadzono potrzebne na ten cel fundusze, zanim się zgodzono na projekt architektoniczny, upłynęło lat dwadzieścia i dopiero w 1905 roku rozpoczęto prace około budowy.

Nowy kościół zbudowany został na podstawie planu, opracowanego przez architekta dr. Jana Zubrzyckiego, a rozmiarami swymi i kształtami odpowiada nawet bardzo wybrednym wymaganiom estetyki. Utrzymany jest cały w stylu gotyckim, a wykonany z czerwonej cegły, której barwa pięknie harmonizuje z tłem szarych domów i kamienic sąsiednich. Kościół wznosi się, jak wspomniano, na wzgórzu, do którego prowadzi 18 szerokich kamiennych stopni. Do wnętrza kościoła prowadzą trzy ostrołukowe, gotyckie wejścia, zdobne portalami, nad któremi mieści się obronny krużganek, otoczony balustradą, zamkniętą po bokach przez dwie wieżyczki. Między temi dwoma wieżyczkami ulokowano wielki, kolorowy witraż. Na frontonie widnieją nadto posągi św. Kazimierza Jagiellończyka, św. Kunegundy, św. Elżbiety i św. Jana Kantego, nad nimi zaś w niszach św. Stanisława, Wojciecha, Piotra i Pawła. Prócz głównego wejścia prowadzą do wnętrza dwie boczne bramy.

Kształt kościoła już z zewnątrz przypomina kształt krzyża, nad którym wznosi się smukła, bardzo wysoka wieża.

Wnętrze kościoła obszerne i widne, czystością linii i stylu sprawia dodatnie i sympatyczne wrażenie, mimo iż brak jeszcze malatury, figur i obrazów. Na jasnem tle ścian rysuje się dokładnie linia budowy, żebrowanie sklepienia ostrołukowego i pilastry, pokrywające ściany.

Wszystkie roboty około kościoła wykonane zostały siłami krajowemi, co z uznaniem podnieść należy.

Uroczystość konsekracyjna odbyła się w niedzielę przed południem. Ceremonii religijnej dokonał ks. biskup Nowak w otoczeniu licznego kleru a przy udziale tysięcy wiernych z Podgórza i okolicy.

Dzięki prześlicznej pogodzie, uroczystość wypadła wspaniale i pozostawiła uczestnikom piękne wspomnienie. Już rano około 7 zaczęły napływać przed zamknięty jeszcze kościół tłumy publiczności, przybył tam również burmistrz Maryewski z radą miejską i z komitetem budowy kościoła, którego przewodniczącym był wiceburmistrz Kaczmarski. Zebrani powitali przed kościołem ks. biskupa Nowaka stosowną przemową, poczem prezes komitetu budowy wręczył ks. biskupowi klucze do głównego wejścia do nowej świątyni. Następnie rozpoczęto ceremonie religijne, które trwały do godziny 9. O tej godzi-



Konsekracya nowego kościoła w Podgórzu: Widok nowego kościoła parafialnego w Podgórzu.



Zjazd w Racconigi: Zamek królewski, w którym nastąpił zjazd cesarza rosyjskiego z królem włoskim.

nie odprawił ks. biskup Nowak uroczyste nabożeństwo, zakończone podniosłą przemową do zgromadzonego ludu. Następnie odbyła się procesya, która przy dźwiękach orkiestry, śpiewów i dzwonów przeszła od kaplicy na plebanii do nowego kościoła.

Na zakończenie urządziła rada miejska w sali ratuszowej przyjęcie dla uczestników uroczystości konsekracyjnej.



Konsekracya nowego kościoła w Podgórzu: Procesya w powrocie do kościoła.

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

9 (Ciąg dalszy).

Popatrzyła na mnie, jakby nie rozumiała, co mówię. Początek ten mógł istotnie zadziwić ją. Zacząłem jednak i zdecydowany już byłem powtórzyć jej pieśń, którą słyszałem od cyganki. Przytem i położenie jej przedstawiało pewne podobieństwo z dziewicą, więzioną w podziemiu... Mówiłem więc dalej:

— Przed kilku godzinami słyszałem, jak stara, pomarszczona cyganka śpiewała romans o Studni Maurytańskiej... Pani nie zna go... Proszę więc słuchać, jak została uwolniona piękna dziewica; historya nie wspomina jej imienia, lecz to nic nie znaczy.

„Pochwycona przez czarnego, zazdrosnego i okrutnego Maura, została ona zamknięta w podziemnem przejściu, w głębi jednej studni“.

— Sądzi pani, że musiało tam być wilgotno. Legenda nic o tem nie mówi. Przypuśćmy, że kamienie zlepione cementem, stawiały należyty opór wodzie.

Jak widać, przyjąłem żartobliwy sposób opowiadania i rysy mojej młodej panienki pod wpływem uśmiechu na mej twarzy zaczęły się rozjaśniać.

— W więzieniu tem — ciągnąłem dalej — były drzwi, a raczej pozioma tylko pokrywa, gdyż znajdująca się nad nią woda nie dopuszczała żadnej komunikacyi z podziemiem. Jeden tylko Maur słowami magicznemi mógł odprowadzać lub sprowadzać napowrót wodę... Słowa te są bardzo trudne do zapamiętania i nie można ich wymówić, jeżeli nie oddało się duszy dyabłu. W owych czasach zdarzało się to bardzo często, tak iż szatan uważał to dla siebie za mały prezent, jakby za pudełko obsmażanych w cukrze kasztanów.

Oczy panny Holsbein zabłysły wesoło, nie był to jeszcze uśmiech, lecz w każdym razie jego zapowiedź. Czułem, że słucha mnie z uwagą, zapominając o męczących myślach, które ją gnębiły od poprzedniego dnia. Siadłem koło niej obojętnie, nie przykładając do tego najmniejszej wagi i rzekłem:

— Pani dobrze oceniła piękną dziewicę i dlatego uważa ją za uwięzioną na zawsze... W istocie nie jest ona zdolną do udania się do dyabła po te magiczne słowa, znalazł się jednak ktoś, kto ją wywiódł z nieszczęścia... Jest to Dobra Dama od wszelkiej pomocy. Po starciu łba smokowi, wyrwała mu tajemnicze zaklęcie.

„Piękna Dziewica błagała Dobrej Damy, która też usunęła wodę, uwalniając drzwi podziemia od tego hermetycznego zamknięcia. Po tak szczęśliwem rozwiązaniu problemu hydraulicznego, piękna dziewica wyszła na świat, wyciągając radośnie ku słońcu swe ręce; tymczasem Maur, przed którym ukryto całą tę awanturę, dał się złapać jak mysz w pułapkę. Gdy przyszedł do pustego podziemia, by cieszyć się pięknością swej niewolnicy, Dobra Dama rzuciła nowe z klęcie w przepastne głębiny, tak iż nawet dyabeł nie mógł go odszukać i Maur zmarł w ciemnościach.

Patrzyłem na Nietę prosto jej w twarz, by wpoić w nią swe przekonanie, lub przynajmniej to, co udawałem i zakończyłem:

— Widzi więc pani, że nawet w tak fantastycznem opowiadaniu można znaleźć ślady wiary ogólnej ludu w oswobodzenie z więzienia, w oswobodzenie od bólu, nędzy i wielu rzeczy, które sprawiają cierpienia.

Zdawać się mogło, iż ten mój wniosek pokrył cieniem łagodną twarz Niety.

— Nie można oczyścić się od hańby — odrzekła, a lazur jej wejrzenia zaćmił się jakby wilgotną mgłą.

— Hańba piętnuje tylko winowajców...

— I tych, którzy noszą ich imiona — dodała jeszcze słabszym głosem.

— Och! imię — zawołałem bez namysłu lekceważąco. Imię można zawsze zmienić.

Zaprzeczyła mi całą swą osobą.

— Czyż mogę?... Nie byłoby to potępieniem? Córka nie potępia...

— Och! córka zmienia imię, nie potępiając nikogo. Wszystkie *ladies* są pannami, które zmieniły nazwisko, a żaden ojciec nie czuje się tem znieważony.

Silny rumieniec pokrył jej zasmuconą twarz i ledwie dosłyszalnym głosem, rozdzierającym jak płacz, szepnęła:

— Pańskie dobre serce sprowadza pana z drogi. Któż może mi ofiarować schronienie pod swojem nazwiskiem?

— Ja! — odpowiedziałem, zanim zdołałem pomyśleć.

Bywają istotnie chwile, gdy serce tyle troszczy się o rozum, co ryba o gruszkę.

Zostałem osłupiony na równi ze swą towarzyszką. Muszę dodać zaraz, że w osłupieniu mojem nie było wcale żalu... Byłem zdziwiony nie tem, iż to powiedziałem, lecz żem nie przewidział, iż będę tak szczęśliwy i to powiem.

Zamilkliśmy z oczami utkwionemi w siebie... Miałem wrażenie, że coś stanęło we mnie, że życie me zatrzymało się. I nagle serce me, gdy wreszcie panna Holsbein odezwała się pierwsza, zabiło silnie, jakby pobudkę wojenną.

— Pan nie zastanowił się...

Słowa te odrazu przywróciły mi władzę myślenia i dałem upust swej tkliwości.

— Ja myślałem o jednej tylko ważnej kwestyi; słyszy pani, miss Niete, o jedynej... kładę na nią teraz nacisk, by nigdy do niej już nie powrócić. Kwestya, o którą chodzi... Czy zgodzi się pani, przyzwyczajona do wielkiego zbytku, żyć skromnie z dwudziestu, lub dwudziestu pięciu tysięcy franków, które Maks Trelam, korespondent *Timesa* zarabia rocznie swem piórem.

Miała niepewną minę kleryka, któremu ofiarują kapelusz kardynalski.

— Czyż mogę wierzyć? — wyszeptała.

Schwyciłem ją za rękę, ściskając ją silnie... Byłem jak szalony, jak upojony... Miłość uderzała mi do głowy.

— To stanie się, co pani postanowi, na to daję me słowo.

Wtedy skłoniła czule głowę na me ramię i zaczęła płakać lekko, cicho, podczas gdy ja wargami swemi dotykałem się nabożnie jej złotych włosów. Milczenie nasze było wymowniejsze od słów. W płaczu jej nie było bolu; łzami swemi mówiła mi o swem uczuciu, ufności, wdzięczności. Biedna dzieweczka! czyż może zasługiwać na wieniec laurowy ten, kto ocala z pogromu skarb lub duszę czystą? Zbawca winien wtedy społeczeństwu wdzięczność, gdyż on najwięcej zyskuje.

Byłem zaangażowany, jak się mówi w Anglii, wyrażając przez to pojęcie małżeństwa, jako poważnej umowy. Nasi przyjaciele Francuzi, używają w podobnym wypadku słowa zaręczyny, od ręczyć za coś swą wiarą... Ładnie to wygląda, wolę jednak zaangażowany, bo wskazuję tem, iż uważam się za obowiązanego do czuwania nad szczęściem ukochanej.

Byliśmy więc zobowiązani względem siebie. Teraz szeptem wymawialiśmy słowa przerywane milczeniem.

— Och! życie me winno być poświęceniem za to wykupienie mnie z hańby.

— Dlaczego, Niete droga, kwiecie biały, wyrosły w ogrodzie mego serca, mówisz o poświęceniu?... Wczoraj nie znałem ciebie... dzisiaj jestem ci oddany aż do śmierci.... Jak to się stało? Niebiańska czystość spływa z ciebie; jaśniejesz tem, o czem się marzy, co się kocha, nie znając nawet tego.

I całą masę innych pięknych rzeczy mówiłem, których nie będę tu powtarzał, gdyż sądzę, że słowa, wyrażające najczulsze uczucia, są bez znaczenia, a nawet śmieszne dla ludzi nie zainteresowanych niemi osobiście. Tymczasem Concepcion znikła. Dzielna pokojówka posiadała wszelkie potrzebne zalety. Zdawała sobie sprawę, że mogła być zbyteczną dla dwojga narzeczonych. Nie mogłem oprzeć się chęci nazwania jej po cichu teściową, gdyż rzeczywiście postępowała ona tak, jak troskliwa matka, starająca się wydać za mąż swą córkę... Ona nas jakby popchnęła wzajemnie ku sobie. Biedna Concepcion, wspomnienie jej zawsze mnie rozrzewnia. Sądziła wierna służąca, że pójdziemy już razem po drodze szczęścia, że pani swej dała spokój i opiekę, a nie spodziewała się, że brutalny los zniszczy wkrótce wszystkie jej pragnienia.

Nagle z sąsiedniej alei wyszedł człowiek, na widok którego z piersi mego ukochania, jak już nazywałem Nietę, wyrwał się stłumiony okrzyk.

Był to hrabia de Holsbein Litzberg.

Skierował się powoli ku nam z namarszczonemi brwiami, z wyrazem gniewu i złośliwości w oczach.

Niete zakryła sobie twarz rękami.

— Mój ojciec... co on powie?

— Ja tu jestem — szepnąłem.

Podniosłem się. Mimo wszystko Maks Trelam mógł stawić czoło hrabiemu we wszystkich okolicznościach... a tem bardziej, gdy chodziło o zdobycie Niety. Wiedziałem dobrze, że mam wzgardę dla szpiega, za nic jednak na świecie nie mogłem tego okazać po sobie. Zdradzając się z tem, wywołałby w nim zdziwienie swemi pragnieniami matrymonialnemi. Wszystko to jak błyskawica mignęło w mym mózgu. Pan Holsbein był już koło mnie. Wzywając na pomoc całą swą przytomność umysłu, skłoniłem się uprzejmie i zaatakowałem zaraz, wiedząc, że to jest najlepszy sposób złamania ataku przeciwnika.

— Dzisiaj wieczorem chciałem prosić pana o chwilę rozmowy. Dzięki jednak temu szczęśliwemu spotkaniu chciałbym przyspieszyć upragnione wyjaśnienie... o ile tylko pan łaskaw mnie wysłuchać.

Dostrzegłem w nim wahanie się. Jasnem było, że mój swobodny ton zadziwia go. Przyzwyczajony on był jednak do dyplomatycznych niespodzianek... Opanował się zaraz i odparł z dość przejrzystą niechęcią, pokrytą grzecznością.

— Jestem do pańskich usług, panie...

Zdawał się przypominać sobie me nazwisko. Pospieszyłem dodać:

— Maks Trelam z *Timesa*.... Miałem zaszczyt być przedstawiony podczas ostatniego pańskiego przyjęcia!... Widzę, że z powodu licznych zajęć pan zapomniał o tym drobnym szczególe.

Skłonił się, jakby potwierdzał słuszność mej uwagi. Nie zwlekając jednak, zacząłem mówić dalej; na co było czekać? nadszedł czas spalenia za sobą mostów. Zabrałem się do tego z zapałem zawodowego podpalacza.

— Jestem więc Maks Trelam z *Timesa* i mam zaszczyt a również i szczęście prosić pana o rękę panny Niety, którą kocham...

— Odkąd?

Zapytanie padło wyraźne. Czy hrabia spodziewał się mych oświadczyn? Nie widać w nim było najmniejszego zdziwienia.

Odkąd?... Nie mogę tego wyjawić, gdyż słowa niebezpieczne, nie do powetowania, stały by się koniecznemi. Jest on szpiegiem, a nie wolno mu tego powiedzieć, jak również przyznać się, żeśmy, ja i Niete, złączyli się dlatego, by ułatwić wyswobodzenie się jego córce. Ona chce nie tylko zostać mistress Trelam, lecz i przestać być panną Holsbein. Trzeba działać podstępem... Przypominam sobie, że mieszkają w Madrycie już od dwóch lat i rzucam to kłamstwo.

— Od zeszłego roku... Długo wahałem się; nie czułem się godny tak doskonałej osoby, jak panna Niete.

— A teraz pan zmienił swe zdanie?

Niete przysunęła się ku mnie.

— Ojcze — rzekła łagodnie — prosiłam go, by zmienił swe zdanie, bo wiedziałam, że mnie kochasz i nie będziesz się sprzeciwiał szczęściu swego dziecka.

Jej interwencya zapewniła zgodę hrabiego. Zmarszczył na chwilę twarz, lecz zaraz ją wypogodził i rzekł dobrodusznym tonem, w którym dźwięczała groźna ironia.

— Dlaczego nie powiedział pan tego odrazu? W istocie nie mógłbym sprzeciwiać się temu, co ma córka uważa za swe szczęście.

Potem dodał ze szczególnym naciskiem:

— Pragnąłbym tylko, by doprowadziło to tę, którą kochałem aż do dzisiaj całem sercem, którą chciałem uczynić najszczęśliwszą, do prawdziwej jasnej przyszłości.

Oczy jego chciały zgłębić mą myśl. Wpierały się we mnie całą swą siłą.

— Nie będę opierał się wcale — rzekł powoli — życzeniom mej córki. Przyjmuję więc pana jako narzeczonego.

— Panie, moje oddanie się najzupełniejsze...

Zaczął się śmiać złośliwie.

— Przysięgi narzeczonego — przysięgi na wiatr. Przed ślubem jest się dobroczyńcą... Potem pozostaje tylko teść, którego znosi się, gdy się go nie unika.

I powstrzymując mój gest przeczący, mówił:

— Pozostawmy to. Przekonamy się. Zajmijmy się chwilą obecną. Pragnie pan bez wątpienia bywać u mnie w domu?

Jak on śmiał tak odzywać się? Oburzyło mnie to, odpowiedziałem jednak uprzejmie:

— W istocie, jest to moim najszczerszym zamiarem.

Oczy jego błysnęły szyderczo:

— A więc dobrze, panie Maks Trelam. Casa Avreda jest dla pana otwarta... od jutra.

Zrozumiałem teraz... Szpieg nie wierzył w uczucie Anglika dla tego biednego stworzenia, które, nie znając myśli swego ojca, stało oparte o mnie. W jego oczach byłem szpiegiem... Czułem podejrzliwość w ostatnich jego słowach... od jutra. Jutro! Ależ jutro odda już dokument swemu wspólnikowi Koeleritzowi... Będzie mógł wpuścić szpiega do domu, gdzie nic nie będzie do odkrycia. Gniew zawrzał we mnie. Jest to nierozumne, lecz posądzenie mnie

o szpiegostwo przez takiego nędznika, wzbudziło mnie do ostateczności. Pohamowałem się jednak. Kochałem Nietę. Co znaczyć mogła dla mnie obraza miłości własnej, gdy chodziło o uwolnienie mojej jasnej Niety, prawda, że z przepychu, ale i z hańby. Zebrałem całą swą dobrą wolę i znalazłem w sobie nad sobą i tyle grzeczności, iż mogłem odpowiedzieć, nie zdradzając swych istotnych myśli.

Zastanawiałem się nieraz potem, czy hrabia, uważając mnie za wspólnika X 323, nie zamierzał dotrzeć w ten sposób aż do niego samego, o ile tylko nie przypuszczał, że ja jestem tym nieuchwytnym X 323, którego istotnej postaci ani on ani nikt inny nie znał. Tymczasem hrabia zwrócił się do Niety:

— Czy chcesz mnie wziąć pod rękę, drogie dziecko, by wrócić do domu... Pracowałem dzisiaj wiele, głowa też mnie ciąży, czuję jakby migrenę, zdaje mi się jednak, że mały spacer z tobą dobrze na mnie wpłynie.

Wzięła pod rękę swego ojca, a obrzucając mnie tęsknem spojrzeniem, wyciągnęła ku mnie dłoń. Uścisnąłem ją czule.

Pan Holsbein patrzył na nas z lekkim szyderczym grymasem na ustach.

— Pan bardzo kocha Nietę — rzekł — podając mi rękę.

— Oświadczając się, oddałem swe życie i to była najszczęśliwsza chwila, jaką kiedykolwiek miałem.

Uśmiechnął się znowu, a oczy mu zabłysły szatańską złośliwością, odpowiedział jednak ojcowskim tonem:

— Jeżeli istotnie jest to prawda, łatwo możemy się porozumieć. Muszę jednak pana uprzedzić... Jeżeli Niete byłaby nieszczęśliwą, zabiłbym pana bez żadnego skrupułu.

Nie dał mi czasu, bym coś odrzekł.

— Prawda, ojcowie są straszni?... Ale narzeczeni są wyrozumiali. Gdy są zakochani, pojmują, że i ojcowie kochają na swój sposób.

Pociągnął za sobą Nietę, a patrzyłem w ślad za temi dwoma postaciami, złączonemi więzłami krwi, które miałem jednak rozłączyć, by jedna z nich nie umarła z hańby drugiej.

VI.
KU STUDNI.

Teraz ubieram się w specyalny strój na nocną wycieczkę. Strój ten jest zresztą bardzo prosty. W listopadzie noce madryckie bywają chłodne, ciepła więc zarzutka szarego koloru będzie bardzo odpowiednia. Do niej do kieszeni włożyłem rewolwer Halsmith, nogi obułem w trzewiki tenisowe, by nie wydawać, idąc, żadnego hałasu, na głowę włożyłem miękką czapkę i byłem już gotów. Zostawiłem w pokoju lampkę elektryczną, która, chociaż nie większą jest od zwykłej tabakierki, byłaby jednak zbyteczną; winienem widzieć, a nie być widzianym. Na czatach zaś najłatwiej zdradzić się można takiem nikłem światełkiem. Nie zapomniałem natomiast swej legitymacyi dziennikarskiej z *Timesa;* zabrałem również i karty wizytowe, a także depeszę, otrzymaną rano w hotelu, aby na wszelki wybadek módz stwierdzić swą identyczność.

Na chwilę zatrzymałem się, oglądając się w koło, czy czego nie zapomniałem, potem odpowiedziałem sobie z zadowoleniem: nie i powoli zszedłem po schodach do westibulu. Było trzy kwadranse na siódmą. Lampy na ulicach są już od dłuższego czasu zaświecone. Jeszcze wcześnie; lepiej jednak dłużej poczekać, niż się spóźnić. Gdy się nie wie, o której godzinie dana osoba przyjdzie na rendez-vous, najpewniejszym środkiem spotkania jej jest przyjść tam daleko wcześniej, niż ona mogłaby się tam udać.

Przez *Calle Mayor* skierowałem się ku dzielnicy Armerji. O tej porze przechodniów jest mało, gdyż cały Madryt siedzi za stołem, zbierając siły na rozmaite muzykalno-wokalne wieczory, których odgłosy rozlegają się późno w noc. Z tej ulicy przeszedłem na wąskie, ciasne zaułki, którymi miałem dojść do oberży Kamoensa. Wreszcie dotarłem i do niej! Jest to brudny, cuchnący barak z poopa danym tynkiem, przez które widać ściany złożone z wielkich kamieni, polepionych gliną. Przez zakopcone i pokryte stoletnim chyba kurzem szyby, dobywało się czerwonawe światło, które zamiast jasności, rzucało raczej cienie. Istotnie, oberża ta jest tak zanieczyszczona, iż można jej przyznać doskonałość w tym względzie.... Goście muszą zapewne odpowiadać jej zewnętrznemu wyglądowi, instynktownie też chwyciłem ręką w kieszeni rewolwer. Sześć nałożonych naboi dodało mi odwagi.

Po przez szyby chcę przekonać się jak wygląda wnętrze. Mimo zatłuszczonej płachty zakrywającej okno, dojrzałem rozstawione stoły, na wprost zaś drzwi od ulicy inne drzwi, prowadzące zapewne na podwórze. Przy nich jednak znajdował się wielki kontuar, za którym królował jakiś szeroki, kwadratowy prawie mężczyzna o czarnej skórze, czarnych oczach i czarnej brodzie, zapewne dyrektor tej spelunki. Trzeba było przechodzić koło niego. Czy pozwoli on na swobodne przejście przez swój zakład jegomościowi, bardzo różniącemu się od jego zwykłej klienteli? Nie wielka to troska! tak w Madrycie jak i w Londynie jest jednakowy sposób na podobnych osobników.

Śmiało wziąłem za oślizgłą z brudu rączkę drzwi i wszedłem. Wszyscy goście podskoczyli ze swych miejsc. Pewny jestem, że każdemu przyszła na myśl



Skierował się powoli ku nam z namarszczonemi brwiami.

policya; uspokojeni jednak mym wyglądem, powrócili do swych szklanek. Nie mam widocznie wyglądu rycerza ze straży bezpieczeństwa. Spokojnie skierowałem się do drzwi, przez które według domysłu, mogłem wyjść na podwórze. Podchodząc do gospodarza, który rzucał na mnie podejrzliwe spojrzenia, położyłem przed nim ze szlachetnym gestem dwie monety frankowe i dodałem szeptem to wyjaśnienie:

— Po jednej na każde oko.

Skrzywił się na znak uśmiechu, skłonił się i zgrabnie zsunął do ręki pieniądze. Znalazłem się po za główną salą w rodzaju jakiejś kuchni, zupełnie jednak pustej i ciemnej; przed sobą miałem jakieś wyjście, stosunkowo wyraźne mimo już zapadłej nocy.

Wreszcie wydostałem się na podwórze. Pod nogami czułem błoto, dokoła zaś odór zgnilizny i stęchlizny, Mimo to dotarłem zwolna do muru, zarosłego gęstemi zaroślami, o którym wspominała mi cyganka. Po pewnej chwili, gdy oczy me przyzwyczaiły się już do ciemności, wydało mi się, że w tej roślinnej ścianie dostrzegam jakąś wyrwę. Rzeczywiście było tam przejście, a raczej dziura, przez którą prześlizgiwały się prawdopodobnie psy i koty. Zanim wcisnąłem się tam, rzuciłem sporzenie poza siebie i zakląłem ze złością.

W rogu między barakiem a murem, ogradzającym podwórze równolegle do ulicy, dojrzałem wąskie przejście, które bez wątpienia służyło obeznanym ze Studnią Maurytańską, a nie chcącym narażać się na ciekawość bliźnich. Tędy z pewnością dostawali się do tego zapadłego kąta madryckiego i hrabia Holsbein i X 323.

Jak każdy człowiek, nie lubię przyznawać się do błędów, rzekłem też sobie z lekceważeniem:

— Eh! nie ma to żadnego znaczenia.

I by nie dopuścić żadnych wyrzutów, zapuściłem się w swoją drogę, uderzając się jednak ciągle o gałęzie, o których bujności przekonałem się za późno. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że powracam znowu na podwórze oberży, gdyż zajaśniało przede mną jakby małe, zamglone światełko. Na szczęście myliłem się. Dostałem się nakoniec na wolniejsze miejsce, jakby polanko, po środku której widać było małe podmurowanie.

— Ocembrowanie Studni Maurytańskiej, szepnąłem do siebie z radością, którą każdy reporter zrozumie.

Główne zadowolenie, jakie w chwili tej odczuwałem, pochodziło tylko z przezwyciężenia trudności, gdyż sama studnia nie przedstawiała nic osobliwego. Pochylając się nad ocembrowaniem, zobaczyłem na jakie dziesięć metrów w dole lśniącą wodę, a więc na najzwyklejszej odległości... Zamiast coś szczególnego, oglądać tylko mogłem na wewnętrznej ścianie znajdujące się na jednakowej od siebie odległości żelazne klamry, po których robotnicy spuszczają się na dół dla reperacyi. Byłem trochę zniechęcony tym zawodem, gdyż zamiast tajemniczości natrafiłem na banalność. Przypomnieli mi się jednak zaraz X 323 i hrabia Holsbein, którzy winni się tu spotkać razem, aby zaś uniknąć zbytecznych wyjaśnień, postanowiłem ukryć się.

Cofnąłem sie ku zaroślom, tak iż zostałem zupełnie osłonięty gałęziami; było to jak najlepsze schowanie, tę tylko miało ono niedogodność, iż liście łaskotały mnie po twarzy. Jak długo trwało me wyczekiwanie? Nie mogę teraz tego określić, przypominam sobie tylko, że gdym w pewnej chwili podniósł głowę do góry i ujrzałem wprost nad sobą świecącą się gwiazdkę, pomyślałem, że może ona przyciągnęła ku sobie i niebieskie oczy mej Niety i że wzrok nasz może łączy się tam w przestworzu.

Z powodu chłodu, jaki mnie tam zaczął przenikać, zastanowiłem się nawet, czy dobrze robię, przedłużając swój postój i nie wiem, do jakiego doszedłbym wyniku, gdyby nagły szelest liści nie obudził mej czujności. Ktoś szedł między gałęziami. Ani przez moment jeden nie wątpiłem, że to musi być któryś z championów wszechświatowego pojedynku, którego miałem zostać historyografem. Lecz który? Czy X 323 stara się zajść z nienacka hrabiego, czy też hrabiemu udało się zwieść X 323.

Nieświadomość ma była poddana nie długiej próbie. Na skraju ścieżki, przez którą sam szedłem poprzednio, ukazała się ludzka postać. Na widok jej stłumiłem w sobie klątwę. Przed oczami swemi miałem hrabiego Holsbeina-Litzberga. Bez najmniejszego wahania zbliżył się do studni. Nie przypuszczał nawet, by mógł go kto śledzić, gdyż nie zachował żadnej ostrożności. Nic więc go nie niepokoiło, gdyż udawał się tutaj z Casa Avreda.

Lecz cóż w takim razie czynił X 323? Czy jaki wypadek obezwładnił go? Było to możliwe, bo jak inaczej wytłómaczyć jego niebeсność? Jakie szczęście, że ja byłem tutaj, by go zastąpić. Potarłem radośnie rękami, zadowolony, że dzięki swemu uporowi będę miał taką rolę do spełnienia. Przewidywałem, że walka moja z hrabią Holsbeinem może mieć fatalne następstwa dla mego małżeństwa, lecz gdy człowiek przystępuje do działania tak ważnego, zapomina o wszystkich innych rzeczach. Ponadto cała moja uwaga była skupiona na ruchy i czyny hrabiego. Pochylił się nad ocembrowaniem i wydał jakiś głos, jakby się śmiał. Ta pewność siebie i spokój jego zadziwiły mnie jeszcze bardziej, gdym usłyszał, że coś do siebie mówi. Istotnie nie podejrzywał on tutaj niczyjej obecności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jubileusz zasłużonego rektora.

Akademia weterynaryi we Lwowie obchodziła w ubiegłym tygodniu jubileusz swego zasłużonego



Jubileusz zasłużonego rektora: Dr. Józef Szpilman.

rektora, dra Józefa Szpilmana, który od lat 25 piastuje tę godność, służąc ofiarnie nauce polskiej i instytucyi, na której przewodnika go powołano.

Dr. Józef Szpilman należy do tych uczonych, którzy mimo niezaprzeczonych, a wielkich zasług pragną pozostać w cieniu, osoby swej nigdy nie wysuwają naprzód, których jednak ogół umie ocenić. To też i uroczystość jubileuszowa, choć na życzenie jubilata w skromnych urządzona rozmiarach, miała charakter nadzwyczaj serdeczny, jakgdyby święta rodzinnego.

W południe ubiegłej soboty zebrała się młodzież w wielkiej sali wykładowej, udekorowanej kwiatami i zielenią. Wprowadzono tam jubilata, którego na wstępie powitały dźwięki kantaty, poczem przedstawiciel słuchaczów akademii wyraził w gorących, serdecznych słowach uczucia, jakiemi młodzież przejęta jest dla swego przewodnika i profesora. Za owacyę, urządzoną w uroczystym dniu, podziękował rektor Szpilman, wzywając równocześnie młodzież by nadal starała się o utrzymanie serdecznego stosunku przyjaźni z profesorami i by pracowała na polu naukowem z równą jak dotąd gorliwością.

Druga owacya odbyła się w sali rektoratu, gdzie zasługi dr. Szpilmana uczciło grono profesorów akademii, asystenci, delegaci towarzystwa weterynarskiego i grono lekarzy weterynaryjnych autonomicznych i rządowych.

Imieniem profesorów przemówił dr. Królikowski, podnosząc zasługi jubilata około akademii i nauki polskiej. Dr. Szpilman był pierwszym, który zdo-



Echa stracenia Ferrera: Wojsko przed gmachem ambasady hiszpańskiej w Rzymie.



Na starą nutę: Przemówienie prezydenta ze starszeństwa dr. Funkego, podczas pierwszego posiedzenia Izby posłów.

Serbii rzeczą stał się traktat handlowy z Austryą, któryby chłopom serbskim umożliwił wprowadzanie bydła i świń w granice monarchii austryacko-węgierskiej. Jest to jeden z postulatów pierwszorzędnych polityki ekonomicznej Serbii.

Drugim postulatem natury ekonomicznej jest sprawa nowej pożyczki, którą Serbia chce zaciągnąć, celem podreperowania swego mocno nadszarpanego budżetu i celem podjęcia budowy kolei adryatyckiej.



Na starą nutę: Wiceprezydent dr. Otto Steinwender.

Ta ostatnia — jak wiadomo — jest od dawna już marzeniem rządu serbskiego i doprowadzenie tego dzieła do skutku, o ile tylko zagranica zechce Serbii pożyczyć pieniędzy, będzie niepodzielną zasługą ministra spraw zagranicznych Milovanowicza.

Te dwa cele mając na oku, przybył Milovanowicz w ubiegłym tygodniu do Wiednia. Wizyta ta, pozbawiona zupełnie charakteru oficyalnego, hr. Milovanowicz zamieszkał u swego szwagra Mikołaja Germani'ego, sekretarza przy poselstwie rumuńskiem, posiada jednak znaczenie ogólniejsze, bo rozpoczęcie przez rząd serbski kroków przedwstępnych o pożyczkę, oznacza równocześnie, że Serbia dziś pogo-



Echa stracenia Ferrera: Trinidada Ferrerówna, córka rozstrzelonego w Barcelonie rewolucyonisty.

dziła się z programem polityki zewnętrznej, narzuconej jej przez hr. Aerenthala i wyrzekłszy się szerszych aspiracyi do nowych terytoryów, wkracza na drogę stopniowego wzmacniania swych wpływów na Bałkanie a porzuciwszy marzenia o zdobyciu na Austryi lub Turcyi kawałka ziemi, umożliwiającego jej dostęp do morza, przez drogę żelazną osięga ten sam cel.

Konferencya ministra Milovanowicza z austryackim ministrem handlu drem Weisskirchnerem, a dalej konferencye z przedstawicielem Francyi, Włoch i Rumunii, akredytowanymi przy dworze wiedeńskim — oto program dni, spędzonych w Wiedniu w charakterze rzekomo prywatnym a w rzeczywistości w charakterze czynnego polityka.

Illustracya nasza przedstawia Milovanowicza w prywatnem mieszkaniu jego szwagra, sekretarza Germani'ego.

Ofiara demonstracyi antyklerykalnych w Paryżu.

Po straceniu Ferrera Paryż był pierwszem miastem, w którem partye radykalne i loże wolnomularskie zorganizowały na szeroką skalę demonstracye uliczne, wymierzone wprost przeciw rządom klerykalnym. Demonstracye te przybrały charakter nadzwyczaj ostry, bo demonstranci użyli w starciu z policyą, przywracającą porządek, broni palnej, od której padł na miejscu śmiertelnie ranny ajent i kilku



Na starą nutę: Wiceprezydent, Antoni Zarvorka.

żołnierzy policyjnych. Nawet samemu prefektowi policyi paryskiej, Lepine'owi, groziło poważne niebezpieczeństwo, z którego prawie że cudem wyszedł względnie cało, odniósłszy lekką ranę.

Jedną z ofiar, najbardziej poturbowanych w dniu 18 b. m., jest proboszcz kościoła *Notre Dame de Loretto*, ksiądz Annereau, którego tłum, złożony blisko z 200 osób, otoczył w ogrodzie tuileryjskim i na którym demonstranci byliby zapewne dokonali lynczu, gdyby nie dość wcześnie jeszcze na-



Ofiara demonstracyi antyklerykalnych w Paryżu: Ks. Annereau, proboszcz kościoła *Notre Dame de Loretto.*

deszła pomoc policyi. Jeden z ajentów policyjnych rzucił się w tłum z szablą w ręku i z narażeniem własnego życia zdołał osaczonego uratować od niechybnej śmierci.

Illustracya nasza przedstawia księdza Anuereau, gdy oswobodzony od napastników udaje się do dorożki, aby odjechać do domu.

Śmierć włoskiego uczonego.

W Polsce nie tylko świat naukowy ale i olbrzymia część społeczeństwa, dla której nie są obcymi przejawy ducha narodowego, zna dobrze nazwisko Lombrosa, tego wybitnego uczonego włoskiego, który z całą sympatyą odnosił się zawsze do spraw polskich. Ostatni raz wziął udział w zorganizowanej przez Sienkiewicza ankiecie w sprawie gwałtów, dokonanych przez rząd junkrów pruskich na braciach naszych pod zaborem pruskim. Wówczas to Lom-



Serbski minister spraw zagranicznych w Wiedniu: Milowanowicz (na prawo) u swego szwagra Germaniego.

bywszy podstawy bakteryologii w pracowni Kocha, zaszczepił tę naukę we Lwowie. On też zasłużył się wielce około reformy studyów w obu szkołach weterynaryjnych w Austryi, Wiedniu i we Lwowie, oraz około podniesienia ich do stopnia aka-



Na starą nutę: Prezydent Izby posłów dr. Robert Pattai.

demii. Przemawiali dalej radca Punicki, dyrektor Gottlieb i inżynier Piotrowicz.

Po podziękowaniu, złożonem przez jubilata, odbyło się śniadanie, wieczorem zaś bankiet w sali jednego z hotelów.

Na starą nutę.

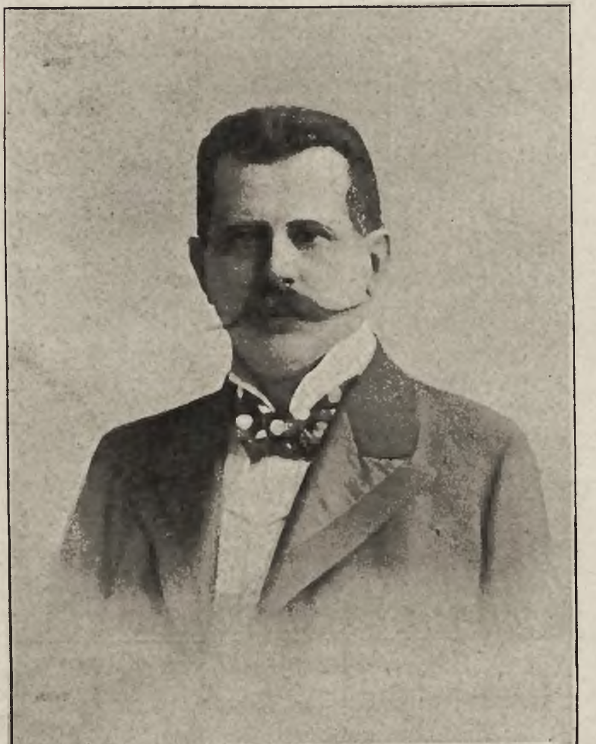
„Chorym człowiekiem“ nazywano dawniej Turcyę. Dziś państwo tureckie jest conajmniej rekonwalescentem i odrodzone po ostatniem przesileniu wewnętrznem, przychodzi zwolna do zdrowia. Ale jest inny „chory człowiek“. Parlament austryacki. Najgorsze zaś to, iż choroba jego jest nietylko chroniczna, ale — zdaje się — nieuleczalna, beznadziejna. Nie pomagają konsylia i medykamenty wszelkiego rodzaju, nie pomógł tak gwałtowny i radykalny środek, jak wprowadzenie powszechnego głosowania, nie pomogła wymiana mózgów na fotelach mini teryalnych, bo parlament wciąż nie domaga.

Po trzymiesięcznych wakacyach zwołano posłów na sesyę jesienną. Próbowano w międzyczasie załagodzić odwieczny spór językowy między Niemcami a Czechami, próbowano uruchomić sejm czeski, ale wszystkie te usiłowania spełzły na niczem.

Wobec tego nie wiele dobrego można się spodziewać po rozpoczętej sesyi parlamentarnej. Unia słowiańska nie tai zresztą, że postanowiła prowadzić dalej zaciętą walkę opozycyjną i to tak długo, aż obali obecny gabinet ministeryalny, w którym zasiada kilku zasadniczych wrogów Słowiańszczyzny.

Pierwsze posiedzenie parlamentu upłynęło względnie spokojnie. Przewodniczył mu prezydent ze starszeństwa dr. Funke, a opozycya radykałów czeskich zaznaczyła się tylko kilku wykrzyknikami, zwróconymi przeciw niektórym członkom gabinetu.

Ale i ta skromna manifestacya pomogła Czechom, gdyż na ich żądanie odroczono wybór prezydyum izby posłów do następnego posiedzenia. Inna rzecz, że wybór odbył się zupełnie spokojnie i w skład prezydyum weszli ci wszyscy posłowie, których powołania domagały się odnośne stronnictwa.



Na starą nutę: Wiceprezydent dr. Stanisław Starzyński.

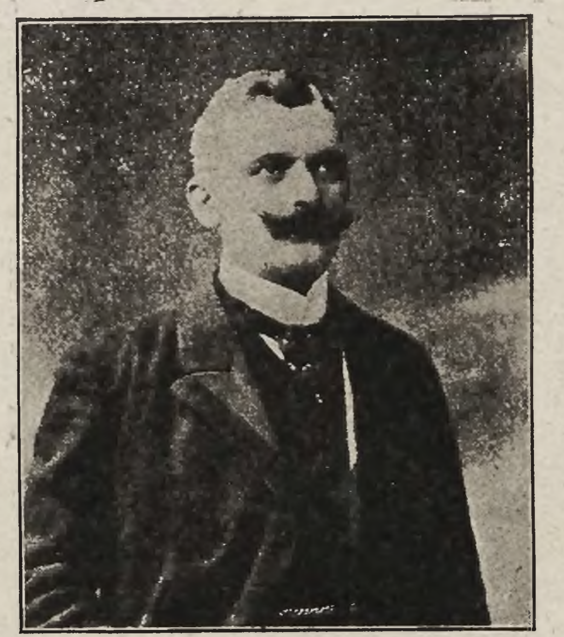
Prezydentem więc został dr. Pattai, wiceprezydentami dr. Starzyński, Pernerstorfer, Pogacznik, dr. Steinwender i Zazvorka.

Spokojny ten i zgodny wybór nie oznacza jednak wcale zawieszenia broni. Sytuacya zaostrzyła się zwłaszcza od tej chwiili, gdy Koło polskie uznało również, że działalność obecnego, antisłowiańskiego gabinetu, nie jest pożyteczna i gdy postanowiło go zwalczać.

Jasną zaś jest rzeczą, że wobec opozycyi Unii słowiańskiej i Koła polskiego najsilniejszy gabinet nie będzie się mógł oprzeć. Ale o ile łatwą jest rzeczą obalić w Austryi gabinet, o tyle trudną powołać nowy taki, któryby zadowolnił wszystkie stronnictwa. Wobec też tych trudności nie jest wykluczonem, że ster rządu obejmie obecnie gabinet urzędniczy, albo też zjawi się na porządku dziennym osławiony §. 14.

Echa stracenia Ferrera.

Rzym, jako siedziba papieża, był po straceniu Ferrera miejscem najpoważniejszych demonstracyi żywiołów liberalnych i socyalistycznych. Ponieważ odyum nienawiści demonstranci starali się wylać na



Na starą nutę: Wiceprezydent Józef Pogacznik.

kler katolicki, którego wpływom przypisywali reakcyjne rządy byłego gabinetu Maury, należało się spodziewać, że szczególnie w siedzibie i stolicy katolicyzmu rozszaleje nienawiść radykalnych żywiołów do wszystkiego, co nosi na sobie znamiona katolicyzmu.

To też szczególnie w okolicach Watykanu wzmocnione straże wojskowe strzegły porządku a miasto, szczególnie, ulice prowadzące ku gmachowi ambasady hiszpańskiej, przybrały wygląd zgoła nienormalny. Skonsygnowane oddziały piesze i konne patrolowały tak na ulicach i placach publicznych, jak szczególnie przed Watykanem i ambasadą hiszpańską.

O Ferrerze samym, dziś po jego śmierci, donoszą pisma francuskie szczegóły, które wskazują, że Ferrer wobec swej najbliższej rodziny był człowiekiem bezwzględnym. Oto jedna z córek rewolucyonisty Trinidada Ferrerówna, żyje w Paryżu w największej nędzy, gdyż Ferrer skłonił ją do zrzeczenia się swej części spadkowej na rzecz zakładanych przez się „wolnych szkół“.

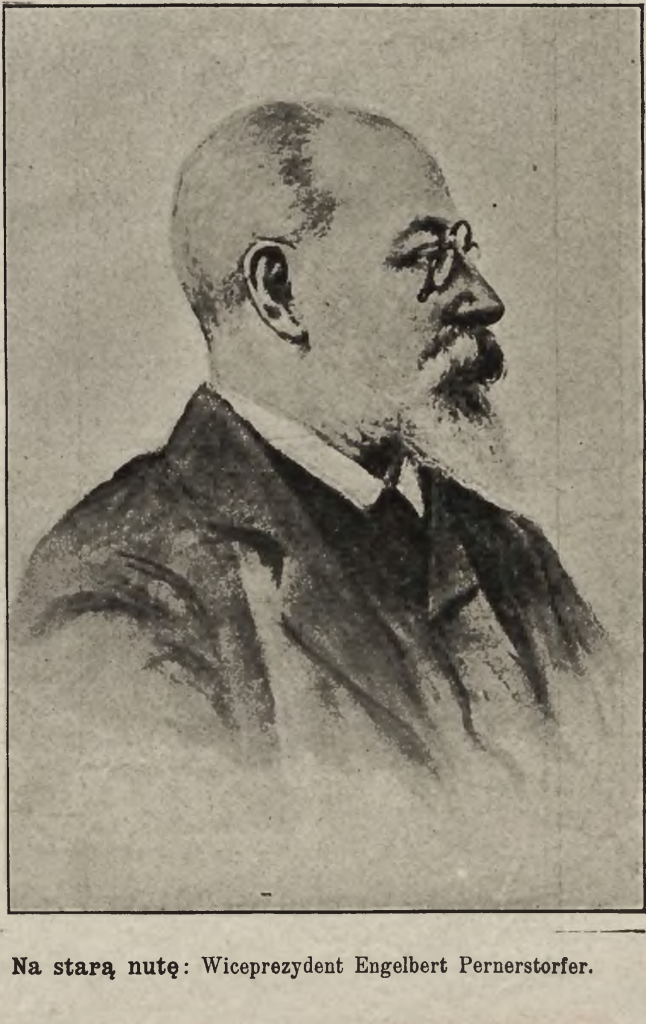
Illustracya nasza przedstawia pannę Trinidadę w jej nędznej izdebce w Paryżu, oraz dwa zdjęcia z ulic Rzymu.

Serbski minister spraw zagranicznych w Wiedniu.

Po porozumieniu się Austryi z Serbią, która jeszcze w marcu b. r. groziła wojną, aktualną dla



Echa stracenia Ferrera: Wojsko w dniu demonstracyi antyklerykalnych na Piazza di Spagna w pobliżu Watykanu.



Na starą nutę: Wiceprezydent Engelbert Pernerstorfer.

broso natychmiast uczynił zadość wezwaniu Sienkiewicza i pospieszył, by głos swój przyłączyć do ogólnego protestu. „Całem sercem — odpisał wówczas Lombroso — przyłączam się do protestu przeciw systemowi, który będąc w tym samym stopniu okrutnym, co niedorzecznym, zwrócić się musi przeciw swym właśnie inicyatorom“.

Lombroso urodził się r. 1836 w Weronie. Ojciec, kupiec, dał synowi wykształcenie nader staranne, a Lombroso już jako dziecko objawiał niezwykłe zdolności. Przedmiotem, ku któremu jeszcze wówczas okazywał najwięcej zdolności i zamiłowania, była filologia. Ale już w ciągu swych studyów uniwersyteckich, które uprawiał kolejno w Padwie, Paryżu i Wiedniu jako słuchacz medycyny, następuje u niego zwrot w kierunku pracy nad historyczno-antropologicznym i psychologicznym rozwojem człowieka.

Pierwsze jego wybitne dzieło, które przetłómaczone na wszystkie języki europejskie, obiega cały świat i stawia Lombrosa w szeregu najwybitniejszych uczonych, było: „Człowiek i geniusz“. Lombroso stawia nowe tory w dziedzinie psychologii kryminalistycznej, które wywołują zaciętą polemikę w całej Europie i jednają uczonemu włoskiemu tak sympatyków jak i wrogów. Zdaniem Lombrosa każdy przestępca jest nim od urodzenia, każdy geniusz jest obłąkańcem, a do tych zaliczał Tassa, Wiktora Hugo i innych.

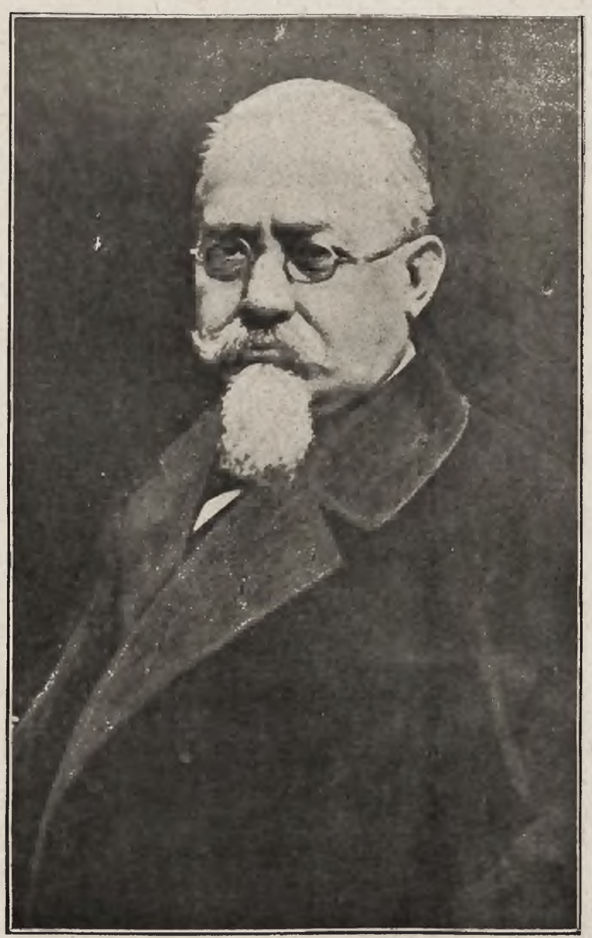
W dziedzinie psychologii i medycyny rodowej Lombroso zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc.

Do roku 1904 był Lombroso profesorem uniwersytetu w Turynie, na którem to stanowisku pozostawał przez lat 28. Usunąwszy się z katedry uniwersyteckiej, oddał się zupełnie pracy i studyom nad psychologią. Umarł w Turynie 19 b. m.

Orkiestra symfoniczna w Krakowie.

Kraków ma opinię miasta mniej muzykalnego, niż inne miasta polskie. Jako jeden z dowodów na to, podawano zwykle, iż mimo swego rozwoju na innych polach, nie zdobył się na utrzymanie stałej orkiestry symfonicznej, o ile zaś takie orkiestry powstawały, to po krótkim żywocie musiały się rozwiązywać z powodu braku środków do „życia“.

Obecnie jednak zawiązała się w Krakowie orkiestra, która ma wszelkie dane, aby się pięknie rozwinąć i spełnić zadania artystyczne. Jest to orkiestra symfoniczna p. Czyżowskiego, Krakowianina, b. dyrygenta Filharmonii warszawskiej i krakowskiej „Harmonii“, a ucznia Nikischa w Lipsku i dr. Riemanna.



Śmierć włoskiego uczonego: Cesare Lombroso.

Orkiestra ta istnieje już od półtora roku, grywając stale w teatrze miejskim. Obecnie przystąpił p. Czyżowski do jej zreorganizowania i znacznego powiększenia. Do koncertów symfonicznych mianowicie pozyskał szereg wybitnych sił muzycznych, zwłaszcza dla instrumentów smyczkowych, nadto zapewnioną ma pomoc kilku znakomitych muzyków wiedeńskich.

Pod względem artystycznym stanęła ta orkiestra już dziś bardzo wysoko. Okazało się to podczas ostatniego jej występu na koncercie jubileuszowym ku czci Słowackiego, gdzie pod batutą Żeleńskiego, Opieńskiego i Czyżowskiego wykonała bez zarzutu szereg trudnych, prawdziwie koncertowych utworów symfonicznych. Złożyła też tem dowód, iż może bez trudności sprostać wszystkim zadaniom artystycznym.

Chodzi jednak o to jeszcze, by orkiestra ta miała zapewniony byt materyalny. Choćby skromny, ale pewny; bez tego niepodobna nawet marzyć o jej dalszym rozwoju. Zależy to zaś przedewszystkiem od poparcia publiczności. Jest to zadanie tem łatwiejsze, iż można połączyć miłe z pożytecznem. Produkcya orkiestry Czyżowskiego bowiem zapewniają wrażenia prawdziwie artystyczne i warto ich słuchać. Do utrzymania tej orkiestry powinna też przyczynić się rada miejska przez subwencyę a o ile wiadomo, sprawa ta znajduje się na najlepszej drodze.

Drugą ważną rzeczą, równie konieczną, jak zapewnienie materyalnego bytu, jest poparcie moralne. Będzie też niem niewątpliwie przystąpienie do orkiektry w charakterze czynnych członków wszystkich utalentowanych muzyków i udział ich w produkcyach.

A pod tym względem właśnie są poważne obawy. Specyalnie w Krakowie nie brak złych duchów, nie brak czynników rozkładowych, które martwią się poprostu powodzeniem innych. Aby więc uniemożliwić rozwój orkiestry p. Czyżowskiego, gotowe te osobniki zaszachować go w ten sposób, iż zorganizują drugą orkiestrę, a rozbiciem sił utrudnią działalność już istniejącej orkiestry, sami zaś do niczego nie doprowadzą. Wspominamy o tem z tego względu, że pojawiły się już pogłoski o zawiązywaniu w Krakowie drugiej orkiestry symfonicznej.

Może jednak pogłoski te nie sprawdzą się, czego sobie ze wszech miar życzyć należy. Pożądanem natomiast byłoby porozumienie i współdziałanie orkiestry p. Czyżowskiego z Towarzystwem muzycznem krakowskiem.

Energia i talent kapelmistrzowski p. Czyżowskiego obok nadzwyczajnych zdolności muzycznych i kompozytorskich dyrektora Nowowiejskiego mogą dać owoce bardzo piękne i ożywić ruch muzyczny w Krakowie.



Fot. I. Sebald, Kraków.

Orkiestra symfoniczna w Krakowie: Orkiestra koncertowa, zorganizowana przez kapelmistrza St. Czyżowskiego.

A. K. Green.

Który z nich?

8 (Ciąg dalszy).

— Pan jest dobry — rzekła. — Byłoby to dla mnie wielką ulgą, gdybym ujrzała się wyprowadzoną z tego okrutnego położenia, w jakiem się znajduję, gdyby się mną kto zaopiekował, gdybym miała szczere serce, któremu mogłabym zaufać w zupełności. Nie mogę jednak przyjąć miłości, która wzbudza we mnie tylko uczucie wdzięczności i przyjaźni. Nieszczęściem dla mnie, nieszczęściem może i dla tego, kogo nie śmiem panu nazwać, serce swe oddałam komu innemu, nie wiedząc nawet, czy jest on go godny. Niech pan żałuje mnie, a nie gani!

Jakże mogłem ją ganić, ja, co znałem najlepiej z własnego doświadczenia, iż nikt nie jest panem swego serca?

— Może — zaczęła znowu — jest on najzupełniej niewinny. Chwilami jestem tego pewna. Chwilami wady jego wydają mi się tylko przejściowymi czarnymi punktami na jego szlachetnym charakterze, godnym całej mej czci. Potem nachodzi mnie wątpliwość, która przedstawia go jak ohydne, wyrodne monstrum... Ach! Gdybym mogła wiedzieć.

— Pozna pani całą prawdę — rzekłem z przekonaniem, zapominając o swym zawodzie wobec jej cierpienia. — Radością i pociechą będzie mi, gdy przyniosę pani szczęście i dam spokój. Jeżeli Alfred jest niewinny, dowiodę tego.

— Nie rozumiem pana — zawołała — co pan chce czynić? Jeżeli winowajca nie odpowiedział na uroczyste wezwanie mego wuja, w jakiż sposób myśli pan skłonić go do przyznania się?

— Nie liczę na to. Winny nie może wyznać już swojej zbrodni, nie poświęcając zarazem i swego życia. Szaleństwem jest spodziewać się tego. Inne jednak są sposoby, przy pomocy których można dojść do wykrycia sprawy. Pani zna swych kuzynów. Niech pani zastanowi się i pomyśli, który z nich zyskiwał najwięcej na śmierci swego ojca.

— Czyż sądzi pan, żem nie zadawała sobie już tysiące razy tych pytań? Tak, zdaje mi się, że znam Jerzego, a jednak nie mogę twierdzić stanowczo, by stał poza wszelkiemi podejrzeniami. Tak, znam Alfreda, znam i Lionela. Lecz jakież zapewnienie szlachetności może dać mi ta znajomość, jeżeli ludzie ci pokrywają, tak swe zalety, jak i wady, hypokryzyą i lekceważeniem wszystkiego. Żaden z nich nie odkrywa szczerze swego charakteru. Dopóki jeden z nich nie wyzna swej zbrodni, nie będzie można nigdy stwierdzić stanowczo, którzy z nich są niewinni. Ja przynajmniej nie mogłabym być tego pewna. Takbym była wtedy poddana wątpliwościom, jak i teraz. Nic niema gorszego na świecie od wątpliwości. Pan jednak może mnie nie rozumie, do tego potrzeba poznać moje życie.

— Za wielkie byłoby to wymaganie.

— Dlaczego nie miałabym powiedzieć panu tego? Pan zasługuje na całą mą ufność. Pan jest teraz, a zapewne będzie i w przyszłości jedynym moim przyjacielem. Pocóż więc ukrywać mam szczegóły, które znają wszyscy? Dowie się pan, że na nieszczęście swe miałam ojca, który nie był ojcem dla mnie. Od najwcześniejszego swego dzieciąctwa, aż do chwili, kiedy go opuściłam, by przybyć do Paryża, nie otrzymałam ani razu od ojca lub matki pocałunku, któryby nie był prostą formalnością. Te trochę sympatyi, jaką wzbudzałam w swym ojcu, pochodziła stąd tylko, że to dziewczynka, a nie chłopiec został przy życiu, gdyśmy oboje, ja i mój brat, ciężko zachorowali. Matka moja... nie będę o niej mówiła; umarła przed dwunastu laty. Niech pan jednak nie wierzy, gdy mówię, że dzieciąctwo moje pozbawione było wszelkich oznak miłości, że pierwsze słowo sympatyi prawdziwej usłyszałam od kuzynów, gdy niezgrabna i bojaźliwa wysiadałam na dworcu, dokąd wszyscy po mnie przybyli. Czyż jest w tem co dziwnego, że ten niespodziany dowód uczucia nie pozwalał jasno zdać sobie sprawy z ich wad, które zresztą nie dopuszczały ani na chwilę myśli o takiem zakończeniu.

Powstałem, by pożegnać się. Nie potrafiłem tak panować nad sobą, by oprzeć się wrażeniom, jakie teraz odniosłem. Rzekłem tylko:

— Pani posiada me słowo. Oby tylko zamiar mój powiódł mi się! Dokonanie go przyniesie wielkie zadowolenie mnie, a pani ten spokój umysłu, którego tak bardzo potrzebuje. Lecz dlaczego pani drży?

— Lękam się... Boję się rezultatu, do jakiego pan może dojść. Nieraz wydaje mi się, że ja nie chcę poznać prawdy. Nazwie pan to nielogicznością, brakiem rozsądku, lecz cóż ja na to poczpnę? Czegóż można oczekiwać po młodej dziewczynie, której młodość była podobna do mojej?

Słowa jej sprawiały mi przykrość. Nieznajomość serca kobiecego nie pozwalała mi zrozumieć jej. Spostrzegła zaraz nastrój, jaki we mnie wywołała i w tej chwili dodała:

— Jak ja odwdzięczam się za pańską szlachetność! To wina mej słabości i lęku, jakiego doznaję na myśl, że to może być on...

— Winowajca — przerwałem jej — nie jest godny żadnej sympatyi. Lecz ten, kogo pani kocha, nie może być winny — rzekłem z przekonaniem. — Może pani mi wierzyć. Mężczyzna, który zasłużył sobie na pani uczucie, jest niezdolny do takiego czynu.

Rękę jej podniosłem do swych ust i wyszedłem, nie dając jej czasu na zapytanie, co zamyślam czynić.

Gdy po powrocie do domu w ciszy swego gabinetu przypominałem sobie wrażenia całego dnia, jedną tylko rzecz dobrze rozumiałem: trudność i niewdzięczność zadania, jakiego się podjąłem. Na czem w istocie polegała ta pewność siebie, jaką tak dumnie głosiłem? Jakiemiż to specyalnymi środkami rozporządzam, któreby nie były jednocześnie dostępnemi i dla agentów policyi? Jaka nić Aryadny przeprowadzi mnie przez ten nieprzenikniony labirynt? Długo rozmyślałem nad tem wszystkiem, nie dochodząc jednak do żadnego rezultatu. Gdy zmęczony położyłem się spać, w śnie przyszła mi myśl, którą od rana samego pośpieszyłem wykonać.

Poszedłem znowu do przyjaciela swego Jana Dorlaix. Opowiedziałem mu o trudnościach, jakie mam przezwyciężyć; wyłożyłem mu cały swój plan. Mimo swych wad, swoich drobnych wybryków, Jan Dorlaix był w gruncie rzeczy najlepszym chłopcem, niezdolnym do nadużycia zaufania, jakie w nim pokładałem. Ponadto był jedynym z mych przyjaciół, który mógł mi pomódz do wykonania planu, wymagającego współdziału człowieka mniej znanego policyi, niż ja. Rola, jaką odegrałem w sprawie Hardych, nie pozwalała mi na uczynienie jednego nawet kroku, zmierzającego do rozwikłania tej tajemnicy, bym nie wystawiał się zaraz na ciekawość tych ludzi, między którymi mam prowadzić swe poszukiwania. Oprócz tego zwracałem na siebie uwagę policyi, której chciałem uzurpować w pewnej mierze prawa i przywileje. Jan Dorlaix mógł najswobodniej czynić wszystko bez obudzania czyjejś podejrzliwości i zawodowej zazdrości. Mógł mnie także, lepiej niż kto inny, poznać z pewnym osobnikiem, byłym urzędnikiem policyi bezpieczeństwa, który z powodu niechęci, jaką wzbudzał swoimi talentami w zwierzchnikach, musiał ustąpić.

Ponieważ przychodziłem do Jana w najrozmaitszych porach dnia, obecność moja u niego nie mogła nikogo zadziwić. Obawiać się mogłem tylko jego lenistwa, które tak, jak i u Alfreda Hardy'ego, stanowiło jeden z rysów jego charakteru. Siedząc naprzeciw swego przyjaciela, zacząłem żartami i ukłuciami szyderczemi doświadczać jego humoru. Przekonałem się zaraz, że jest w najlepszem usposobieniu, z czego skorzystałem, by przedstawić mu swoje plany. Udało mi się zająć go niemi i w końcu rzekłem mu otwarcie:

— Którego z trzech synów Hardy'ego uważasz po namyśle za zdolnego do zbrodni, o którą ich posądzają?

Twarz jego zachmurzyła się zaraz.

— Przyznaj się, mój drogi, czy ty nie masz przypadkiem zamiaru wciągnąć mnie w to gniazdo os! Ci chłopcy dosyć już mają kłopotów, bym ja miał przysparzać im jeszcze nowych, wtrącaniem się w nieswoje rzeczy.

— Nie bądź tak prędki — odrzekłem mu — czyż ci nie wytłómaczyłem zupełnie jasno położenia, w jakiem znajduje się panna Saugey?

— Tak, owszem. Ja rozumiem to dobrze — odparł tonem, w którym brak było przekonania. — Tak, mnie jest jej żal, jak i tobie. Gdybym miał przyjemność widzieć ją, jak składa swe zeznania przed sędzią śledczym, bez wątpienia żal mój stałby się jeszcze większy. Nie miałem jednak tej przyjemności. Wolę też zostawić rozwiązanie tej tajemnicy tym, których to dotyka w szczególności.

— Sądzisz, że oni dojdą do jakiegokolwiek wyniku?

— Niema wątpliwości, że wcześniej czy później prawda się okaże.

— Czy istotnie tak myślisz? — powtórzyłem z pewnym naciskiem.

Naleganie moje zwróciło jego uwagę. Ponieważ pił w tej chwili czekoladę, pośpieszyłem więc dodać:

— Zanim policya zdecyduje się na działanie, musi przedtem mieć coś pewniejszego, niż gołe tylko podejrzenie, zwrócone naraz przeciw trzem różnym osobom.

— Może masz i racyę, lecz cóż chcesz robić?

— Pij swą czekoladę, a ja ci będę mówił. Kierując się swym instynktem, który nieraz już dobrze mi posłużył, chcę śledzić owego jegomościa tak długo, dopóki sam się nie zdradzi. Niemożliwością poprostu jest, by kiedykolwiek nie wymknęło mu się jakie słowo, wejrzenie lub ruch, któreby stwierdziły jego winę. Ten nieostrożny gest lub słowo, ja chcę właśnie pochwycić i wtedy zmusić go już bez trudności do przyznania się. Jestem przekonany, że wytrwałością można do tego dojść. W każdym razie jest to jedyny, według mnie, sposób osiągnięcia tego celu. Chcesz więc, czy nie chcesz pomódz mi do wybrania tego z nich, który najbardziej może być podejrzewany?

— Wcale mi się to nie podoba, sprzeciwia się to bowiem wszystkim moim zasadom, jeżeli jednak chcesz koniecznie poznać dokładnie zdanie me o tej smutnej sprawie, przyjdź do mnie dzisiaj wieczorem punktualnie o dziewiątej. Usłyszysz z ust jednego z mych znajomych szczegóły, które wprowadzą cię na dobrą drogę. Jest to człowiek, którego nie będziesz wcale pragnął poznać, dlatego też ustawię dla ciebie fotel za drzwiami sypialnego pokoju. Drzwi pozostawimy na pół otwarte, byś mógł wszystko słyszeć, o czem będziemy mówili. Czy masz co przeciw temu? Nie bardzo to przyjemnie słuchać pod drzwiami, kto jednak przyjmuje na siebie rolę agenta, ten nie może być zbyt wymagającym. To zresztą Lataupe nie obrazi się o to, mówię to tylko do ciebie.

— Przyjdę — odparłem stanowczo. Postanowiłem nie zrażać się żadnemi przeciwnościami i trudnościami.

— Naturalnie, iż musisz, dopóki on tu będzie, powstrzymać się od swego cygara. Lataupe wyczułby zaraz twoją obecność i nie byłby szczery. Nie darmo przez dziesięć lat służył w policyi. Czego pragniesz jeszcze?

— Niczego. A zresztą... twój Lataupe może jest właśnie tym osobnikiem, który mógłby mi pomódz?

— Wcale nie przeczę temu.

Słowa te wymówił w chwili, gdyśmy wstawali od stołu, tonem bardzo znaczącym. Domyśliłem się, że mimo swej pozornej niechęci, mój dobry przyjaciel nie odmawia mi swej pomocy.

Dnia tego kancelarya moja szwankowała. Prawdę mówiąc, nie zdolny byłem zatrzymać na czemkolwiek swej uwagi. Pożerała mnie niecierpliwość i ciekawość tego, czego mam się dowiedzieć wieczorem. Który z trzech braci zostanie poddany czujności, jaką zamierzam rozciągnąć nad winowajcą?

Punkt o dziewiątej zadzwoniłem do drzwi Jana. Wkrótce siedziałem już w fotelu ustawionym przy półotwartych drzwiach, prowadzących do jego salonu. Z ostrożności zagasiłem jedyny płomień gazowy, jaki oświecał ten pokój. W salonie Jan spacerował z cygarem w ustach, nucąc melodyę najnowszej kabaretowej piosenki. Nie długo jednak to trwało. Po kilku minutach dźwięk dzwonka zwiastował mi, że oczekiwany gość zjawił się. Usadowiłem się wygodnie w fotelu i nadstawiłem uszu.

Pierwsze słowa były bez znaczenia.

— Ah! to pan, Lataupe?

— Tak, panie.

— To ja pana prosiłem na dzisiaj wieczór?

— Tak, proszę pana, sam mi pan zaznaczył tę godzinę na przyjście.

— Bardzo możliwe; moja pamięć nie jest większą od tego kawałka cygara, które już się kończy. Ale, proszę, niech pan siada i weźmie cygaro z tego pudełka, są to hawana, wcale nie złe. I cóż nowego?

— Dziękuję! Nowego? Nie wiele. Akcye, które pan mi poradził kupić, idą ciągle w górę, a mówią nawet, że towarzystwo w końcu miesiąca ogłosi dywidendę, która ich wartość jeszcze podniesie. Jest to wspaniała lokacya pieniędzy i jestem za nią panu bardzo wdzięczny.

— Niema za co. Wiedziałem, że to są dobre papiery i nie wahałem się poradzić ich panu. Tem lepiej, że będzie pan miał większy zysk, niż się pan spodziewał.

— W obecnych czasach nigdy niema się za wiele pieniędzy!

Nastąpiło krótkie milczenie. Dorlaix zapalał nowe cygaro. Potem rozmowa zaczęła się o ogólnych przedmiotach, co mają cierpliwość za drzwiami wystawiało na ciężką próbę. Mógłbym sądzić, że Jana nic więcej nie zajmowało, jak tylko niepogoda i wylewy na południu. Wreszcie w pewnej chwili wymówił zdanie, od którego serce me silniej zabiło.

— A propos, panie Lataupe, cóż to była za awantura, którą chciał mi pan opowiedzieć poprzednim razem, wie pan, gdy musiałem tak nagle po-

żegnać się z panem, ponieważ miałem niespodziewaną wizytę.

— Ach tak! koło quai de Aerey? Było to dosyć ciekawe. Niema obawy, bym zapomniał. Chciałbym bardzo wiedzieć, kto to był. Czy pokazywałem panu złote pudełko do zapałek, jakie znalazłem w jego marynarce, którą dał mi w zamian za swoje sakpalto? Ma bardzo dziwny monogram...

— Pozostawmy na razie monogram, później powrócimy do niego — rzekł Jan najobojętniejszym tonem. Mnie nie tyle interesuje, kto to był ten człowiek, lecz co on robił w podobnem miejscu. Mówi pan, że mimo swego ubrania, musiał on należeć do dobrej rodziny. Niech mi pan to opowie szczegółowo; pan ma talent do opowiadania, sprawi mi to przyjemność.

Lataupe nie gardził widocznie pochlebstwem. Nie dając się długo prosić, przystąpił zaraz do swego opowiadania, w którem początkowo nie znajdowałem nic ciekawego.

— Pan już wie, że miałem sprawę w pobliżu quai de Bercy u matki Lepic, która utrzymuje kawiarnię z pokojami umeblowanemi na ulicy wątpliwej sławy i imienia. Ponieważ pan nie zna tej osławionej dzielnicy, muszę panu opisać zakład matki Lepic, by historya moja stała się jaśniejszą. Proszę wyobrazić sobie zapadłą ruderę o dwóch tylko piętrach; na parterze drzwi i okno hermetycznie zamknięte okienicami; od tyłu nieuprawiany ogródek, wychodzący na puste place. Latem drzwi od ulicy są ciągle otwarte, przynajmniej od góry, gdyż składają się one z dwóch części, jak to można widzieć na niektórych obrazach flamandzkich; niższa część stanowi coś w rodzaju baryery. Zimą we wnętrzu tej komórki świeci się światło, które widać przez cztery otwory, wyrznięte w wyższej części drzwi. Te cztery świecące się otwory i lekki dym, dobywający się z komina, świadczą, iż dom ten jest zamieszkały. Gdy wchodzi się do środka, chwyta zaraz za gardło zgniła atmosfera. Jest to mieszanina najrozmaitszych wyziewów: nafty z zakopconych dwóch lamp, starego tłuszczu, absyntu i najtańszego tytoniu, palonego w tej poczerniałej od brudu jamie. Tłusta, o nalanej sadłem twarzy, matka Lepic, tronuje za swym kontuarem, nie wypuszczając z pod pachy kłębka bawełny i drutów do robienia pończoch. Zatruty odór tej izby widocznie nie przeszkadza jej, gdyż nie znosi, aby na chwilę nawet drzwi pozostały otwarte. Co zaś do okna, to jak już powiedziałem, nikt nie widział, żeby choć okienice były kiedykolwiek odchylone. Meble świecą swoją nieobecnością, dwa stoły z drzewa dawniej białego i kilka krzesełek z wyatrtemi siedzeniami, stanowią wszystkie prawie sprzęty. Matka Lepic nie lubi zbytecznych rzeczy. W głębi znajdują się drzwi, dające dostęp do tylnego pokoju. Niekiedy drzwi te bywają otwarte, najczęściej jednak są one szczelnie zamknięte. Za temi właśnie drzwiami muszą odbywać się ohydne targi, o których tylko świadkowie ich mogliby coś powiedzieć.

Jakiej natury łajdactwa tam się dzieją, tego nie wiem. Już trzy razy byłem w zakładzie matki Lepic, ani razu mimo to nie udało mi się dostać do wewnętrznego pokoju. Dosyć jednak popatrzeć na minę, z jaką stara megera strzeże tych drzwi, by zdać sobie sprawę z ważności lub niebezpieczeństwa, jakie przedstawia dokonywający się tam handel. Zapewne muszą tam także i grywać, gdyż od czasu do czasu dolatują stamtąd przekleństwa, spory lub odgłosy walki. Nie sądzę jednak, by tylko z tego powodu było prawie niemożliwością przeniknąć do tego domu z nastaniem nocy. Musi tam być jeszcze coś innego, lecz pomińmy to... Zgodzi się pan na to, że nie jest to miejsce, godne polecenia. Nie przyznałbym się nigdy, że tam się znajdowałem, jeżelibym nie czynił tego ze swego obowiązku.

Pewnej nocy, o której panu właśnie wspominałem, udało mi się wejść tam o dość późnej porze. Zanim mnie wpuszczono, trzeba było dać hasło. Wyznam panu, że wiele trudów zniosłem, zanim je sobie zdobyłem i potem, zanim je chciała usłyszeć matka Lepic, która nie jest tak głucha, jak to utrzymuje. Po przezwyciężeniu tych trudności, natrafiłem na nową przeszkodę. Na miejscu matki Lepic siedział jakiś mężczyzna w zniszczonem ubraniu marynarza i pilnował tych tajemniczych drzwi. Były one tym razem na tyle uchylone, iż mogłem rzucić jedno spojrzenie do środka. Mimo nieufności, jaką mnie przejmował ten cerber, zbliżyłem się do niego i popatrzyłem przez jego ramię. Dojrzeć mogłem tylko część tego pokoju; przy małym stoliku ujrzałem jakiegoś człowieka o czerwonej, nabrzękłej twarzy, o okrutnym i zwierzęcym wyrazie, który jednak wydał mi się odrazu udany. Uwaga marynarza zdawała się być zwrócona na tego mężczyznę. W chwili gdy podszedłem, by popatrzeć, z piersi jego dobyło się westchnienie. Jednocześnie matka Lepic, która zjawiła się nagle, nie wydając nawet najmniejszego szelestu, dotknęła się go i rzekła mu coś, czego jednak nie dosłyszałem. Człowiek ten zadrżał cały, rozejrzał się dokoła i wskazał wreszcie palcem na drzwi w drugim końcu pokoju.

W odpowiedzi na to nieme zapytanie, matka Lepic kiwnęła potakująco głową. Wtedy on skierował się do drzwi i chociaż usiłował naśladować charakterystyczne ruchy robotników drzewnych, poznałem łatwo, że nie jest tym, za kogo chce się podawać.



Usadowiłem się wygodnie w fotelu i nadstawiłem uszu.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, gdy od zewnątrz doleciał nas jakby długi płacz dziecka. Odrazu wszystko ucichło. Z niezwykłą zręcznością, zadziwiającą u kobiety tej tuszy, co matka Lepic, skoczyła ona jednym ruchem do tamtego pokoju.

— Sygnał — szepnęła — to policya, znowu te wyżły. Może pan uciekać przez okno.

Ktoś zbliżył się do okna lisim krokiem i podczas gdy gaszono światło, patrzył na ulicę, podnosząc kawałek grubej firanki, która okno to pokrywała w zupełności.

Usłyszałem szept: „Dom otoczony“, na co odrzekła matka Lepic:

— A więc to na seryo? Musicie skryć się w piwnicy. Będzie wam tam trochę ciasno, ale agenci nic nie znajdą.

Gdy skierowałem się do drzwi, by wyjść niemi, ktoś szepnął:

— Nie tędy! Nie lubimy tu szpicli!

Jednocześnie matka Lepic mówiła mi do ucha:

— Niech pan zostanie razem z nami. Jeżeliby przyszło im na myśl, że chce ich pan zdradzić, zarazby się z panem załatwili. Naprzód, chłopcy, ostro, a bez hałasu!

Najzupełniejsza ciemność zaległa pokój. Usłyszałem trzeszczenie podłogi, potem głuchy stuk, jakby zamykanie się spustu. Z pół tuzina pijanych oberwańców, którzy niewiadomo skąd się wzięli poprzednio, zapewne z dalszych ubikacyi, znikło jak zaczarowanych. Kilka próżnych butelek na stole i dwie talie kart świadczyły o niedawnej obecności gości matki Lepic, która pośpiesznie schowała to wszystko do szafy, a potem zasiadła w swym fotelu. Nigdy nie widziałem nikogo zarazem tak podnieconego i tak spokojnego.

— Jest tam miejsce jeszcze na jednego — rzekła, pokazując mi palcem zakątek, przez który inni znikli. -- Chce pan zejść?

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć przecząco, gdy otworzyły się drzwi w głębi. Matka Lepic wydała stłumiony krzyk. Mniemany robotnik schodził z wyższego piętra.

— Boże! Ja o tym zapomniałam! — jęknęła gruba megera. — Gdzież ja go schowam?

Spóźniony ten gość nie zwrócił na to uwagi, patrząc prosto przed siebie. Przy nikłem świetle w tej izbie widać było na twarzy jego wyraz niezwykłego bólu. Jasnem było, że nawet nie przypuszcza, ani myśli o grożącem niebezpieczeństwie.

— Czy już tak późno, że wszystko pogaszono? — zapytał z westchnieniem.

Ton jego głosu zadziwił mnie. Nie było to wątpliwości, że człowiek ten należał do wyższych sfer.

— Co za gamajda! — jęczała matka Lepic, załamując sobie ręce. — Za chwilę policya wejdzie. Już od kilku dni kręcą się oni koło domu, winnabym była przestrzedz pana o tem.

— Na nic by to nie wpłynęło. Ja i tak poszedłbym na górę — odpowiedział robotnik. — Niech pani mi pomoże, o ile to możebne jest i przypomni sobie to, co obiecała. Jutro przyślę pieniądze... Mój Boże i w takiej chwili trzeba odchodzić.

— Ależ pan nie może teraz iść — zaprzeczyła. — Nie chce pan chyba wpaść im w ręce i tłomaczyć się, kim pan jest, po co pan tu przyszedł.

— Raczej umrzeć! Prędko, niech pani mnie chowa. Dobrze zapłacę. A ten tam — dodał, wskazując na mnie — nie może mi pomódz? Nie wygląda on na bojącego się policyi. Niech zamieni ze mną ubranie.

Podszedłem ku niemu i rzekłem szeptem:

— Należę do policyi bezpieczeństwa. Nazywam się Lataupe. Znajdzie pan w kieszeni mojej marynarki papiery, stwierdzające mą identyczność. Nie będą pana niepokoili, gdy im pan je pokaże. Ale naprzód pomówmy o nagrodzie, o jakiej pan wspomina.

— Musi mi pan, mój przyjacielu, zakredytować — odpowiedział. — Na górze zostawiłem wszystkie pieniądze, jakie miałem z sobą. Przyrzekam jednak panu, że jeżeli zostawią mnie w spokoju, otrzyma pan w przeciągu dwudziestu czterech godzin pięćset franków.

— Głupi niech wierzy w to — rzekłem ironicznie.

— On zapłaci — zaczęła potwierdzać matka Lepic.

— No, dobrze — zgodziłem się, upewniony przez nią. — Niech pan bierze moją marynarkę i kapelusz.

Ubrał się w nią zaraz, a chociaż nie była bardzo elegancką, dodała mu szyku.

Nagle na progu tej kawiarni ukazał się jeden agent, za nim drugi, potem trzeci.

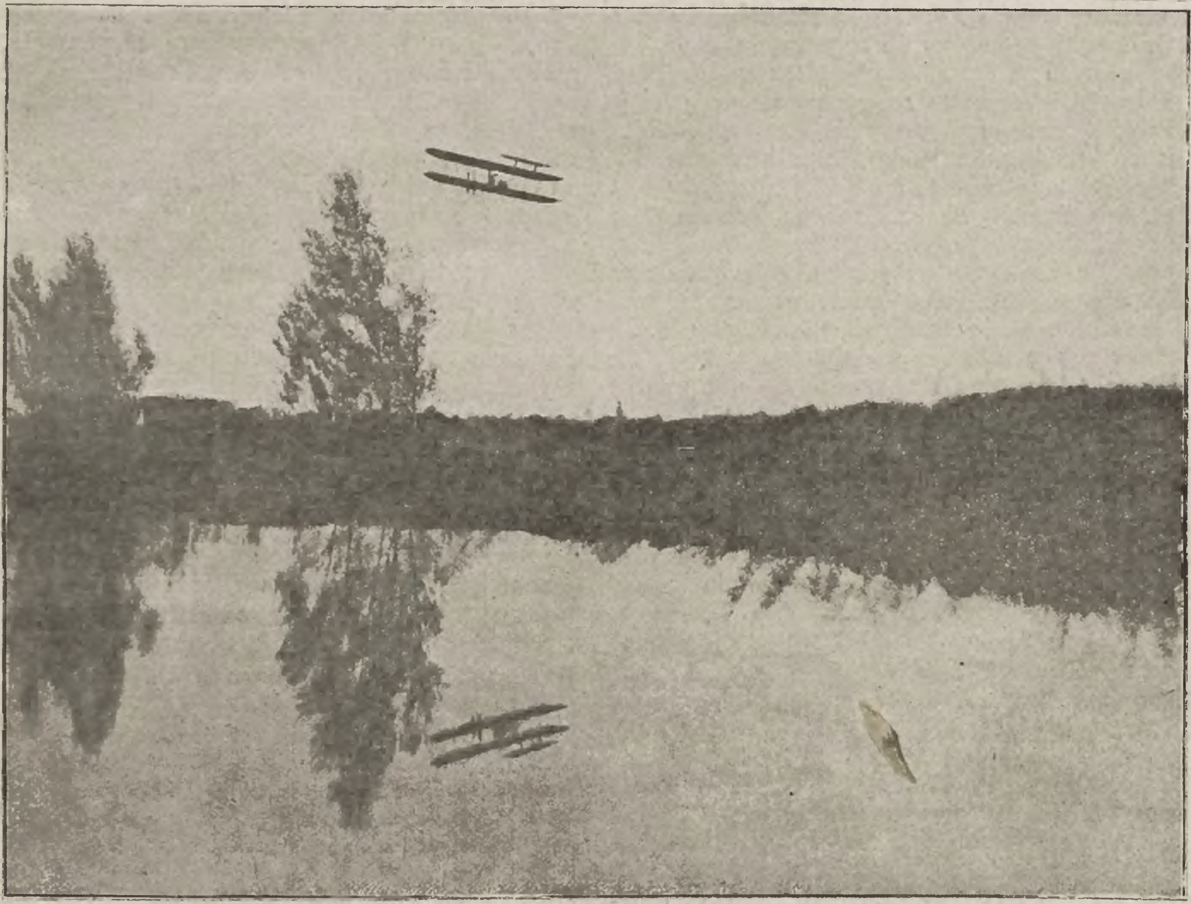
— Hola! Światła! — zawołał rozkazującym głosem.

Podczas gdy matka Lepic podkręcała knot jedynej lampki, jaka się świeciła, jegomość mój zbliżył się do brygadyera, który dowodził tym oddziałem. Po krótkiej rozmowie z nim, wyszedł wkrótce, nie zatrzymywany przez nikogo. Nie tak było ze mną. Gdy zrewidowali cały zakład, znajdując tylko pięć czy sześć kobiet na górze, agenci poddali mnie szczegółowemu badaniu. Poradziłem jednak sobie z nimi i wkrótce wykazałem im, że należę do nich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tryumfy awiatyki.

W poniedziałek d. 18. b. m. dokonał znany awiator, hr. Lambert w Port Aviation niezwykle śmiałego wzlotu. Oto wzniósłszy się na wysokość 150 m., poleciał wprost do Paryża, oddalonego od miejsca wzlotu o 22 klm. Przyleciawszy do stolicy Francyi, wzbił się hr. Lambert jeszcze więcej, bo do 300 m. wysokości i poszybował wprost na wieżę Eiffel. Ponad wieżą zatoczył krąg i powrócił do Port Aviation, przebywszy w 48 minutach przestrzeń 48 klm. Lot jego widział cały Paryż, to też entuzyazm Paryżan nie miał granic, gdy przyszła wiadomość, że odważny awiator wylądował szczęśliwie.



Tryumfy awiatyki: 48 klm. lot aeroplanu hr. Lamberta z Juvissy do Paryża i napowrót.



Tryumfy awiatyki: Hr. Lambert.

Ze sportu footballowego w Krakowie.

Publiczność krakowska miała w sezonie jesiennym b. r. dość sposobności do ocenienia postępów w sporcie footballowym jednej z najlepszych drużyn polskich, jaką bezsprzecznie jest klub sportowy „Cracovia".

W ubiegłą niedzielę rozegrała ta znakomita drużyna przepiękny match z klubem sportowym z Katowic „Djana". Po matchu z Koszycami, w którym naprawdę „białoczerwoni", jak zwykło się nazywać „Cracovię" dla ich kolorów, zdali egzamin na pierwszorzędną drużynę w Polsce, nie mogło być wątpliwości, że odniosą oni i nad mistrzowstwo Górnego Śląska posiadającą „Dyaną" zwycięstwo. Nie spodziewano się jednak, że zwycięstwo będzie tak wielkie, bo aż w stosunku 8 : 1 na korzyść drużyny krakowskiej.

Nie można zaprzeczyć, że „Dyana" rozporządza bardzo dobrymi graczami i że jako zespół przedstawia całość dobrze zgraną i w grze myślącą. Mimo to drużyna katowicka musiała uledz przewadze Krakowiaków, którzy za piękną, celową i dobrze obmyślaną grę słusznie zbierali oklaski od licznie na Błoniach przy pięknej pogodzie zebranej publiczności.



Ze sportu footballowego w Krakowie: Klub „Dyana" z Katowic, zwyciężony przez „Cracovię".

Zgon dyrektora zdrojowiska.

(Do illustracyi na stronie 9).

We czwartek ubiegły, d. 21 b. m., zmarł nagle w jednym z hoteli we Lwowie powszechnie szanowany dyrektor zakładu zdrojowego w Truskawcu, Stanisław Mizerski. Ś. p. Mizerski przybył do Lwowa celem zasięgnięcia porady lekarskiej i zaraz po przybyciu z dworca do hotelu położył się do łóżka. Gdy następnego dnia służba hotelowa weszła do pokoju, zastała już martwe zwłoki ś. p. dyr. Mizerskiego.

Lekarze skonstatowali, że śmierć nastąpiła skutkiem paraliżu sercowego. Ś. p. dyr. Mizerski liczył lat 52, był bezżennym i od dłuższego już czasu sprawował urząd dyrektora zakładu zdrojowego w Truskawcu, ciesząc się sympatyą tak kuracyuszów, którzy umieli ocenić troskliwość, z jaką ś. p. Mizerski jako dyrektor zakładu ich otaczał, jak i swych podwładnych. On pierwszy zwrócił uwagę na zdrojowisko w Truskawcu, który jemu zawdzięcza swój dzisiejszy rozwój.

Cześć pamięci zacnego obywatela!



Śmierć pod kołami samochodu: Ś. p. Konrad Sandecki.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Jesienna sesya parlamentu. — Sprawa drożyzny. — Znowu o kamienicznikach. — Zapobieganie drożyźnie mieszkań. — System podatkowy. — Kolonie poprawcze w Galicyi. — Kradzież na Jasnej Górze. — Smutne refleksye. — Jak złemu zapobiedz. — Kłopoty zewnętrzne. — Zjazd w Racconigi. — O przesileniu węgierskiem).

Z takiem utęsknieniem wyczekiwana sesya jesienna austryackiego parlamentu rozpoczęła się dość szczęśliwie. Na fotelu prezydyalnym utrzymał się dr. Pattai, obstrukcya, która zapowiadała bardzo wiele, narazie przycichła. Unia słowiańska i jej widoma głowa, poseł Susterszic, zachowują się prawie milcząco, mimo to jednak pierwszy tydzień można uważać prawie za zmarnowany, oprócz bowiem wyboru prezydyum nie dokonano właściwie niczego, coby zasługiwało na zanotowanie. Zgłoszono wprawdzie przeszło trzysta wniosków, między nimi szesnaście nagłych, obrady jednak nad nimi będą zwyczajnem młóceniem słomy, w czem, jak wiadomo, celuje austryacki parlament. Między owymi wnioskami jest jeden, mający wielką doniosłość, mianowicie wniosek o utworzenie komisyi, złożonej z 52 posłów, któraby się zastanowiła nad zbadaniem przyczyn ogólnej drożyzny i poczyniła odpowiednie zarządzenia.

Sprawa to nader ważna dla całego kraju, gdyż drożyzna środków spożywczych w całej Austryi postępuje w tak zastraszającem tempie, iż spodziewać się można w niedługim czasie zupełnego wyglodzenia ludności lub przynajmniej odzwyczajenia jej od jedzenia i picia. W parze z drożyzną środków spożywczych idzie i podrożenie mieszkań i opału, a choć rozmaite stowarzyszenia starają się o złagodzenie nędzy swych członków, zakładając związki spożywcze i towarzystwa budowy tanich mieszkań, niema wcale nadziei, aby rychło zmieniło się na lepsze. Bardzo trafnie scharakteryzował jeden z krakowskich dzienników obecne stosunki mieszkaniowe u nas, twierdząc, że cena ich da się porównać chyba z ceną świeżej wody w głębi Sahary. Towarzystwo ochrony lokatorów urządza wiece protestujące przeciw lichwie mieszkaniowej, kamienicznicy łączą się także celem wspólnej obrony swych rzekomo zagrożonych interesów i tłómaczą się, że są oni tylko ofiarami wyzysku podatkowego, a dobrodziejami i przyjaciółmi lokatorów. Nie bardzo chce mi się wierzyć w te zapewnienia, podatki bowiem nie narastają wcale w tym stosunku, w jakim podnoszą się czynsze mieszkań. Cieszono się nadzieją, że z chwilą rozparcelowania gruntów pofortyfikacyjnych, wzmoże się i ruch budowlany, co pociągnie za sobą potanienie mieszkań, jednak i ta nadzieja zawiodła. Kamienicznicy wychodzą z bardzo mądrego i dla siebie korzystnego założenia, że mieszkać musi przecież każdy, a jeśli chce mieć dach nad głową, niech szelma płaci. Być może, że znalazłby się między nimi i jaki poczciwy osobnik, który wyłamałby się z kartelu, boi się jednak, aby go nie okrzyczano umysłowo chorym i nie zamknięto u dra Żuławskiego.

Rozmawiając niedawno z jednym z owych wampirów, ssących naszą krew koronową, zwróciłem jego uwagę, że byłoby dlań przecież korzystniejszem zniżyć nieco czynsz mieszkania, a wtedy nie stałoby pustką (bo i to się dzieje), oświadczył mi jednak, że o tem ani myśli. Raczej niech mieszkanie stoi puste, niżby miał coś opuścić, stratę pokryje potem naiwny, który przecież zdecyduje się na zajęcie tego mieszkania, a któremu odpowiednio podniesie się i czynsz.

Jedynym środkiem, który mógłby regulować czynsze mieszkań, mogłoby być chyba budowanie domów czynszowych w zarządzie gminy, np. na gruntach pofortyfikacyjnych. Budowa opłacałaby się sowicie, a lokatorowie nie byliby narażeni na wyzysk kamieniczników, którzy wobec tego musieliby także spuścić nieco z tonu. Tego jednak spodziewać się nie możemy, gdyż gmina, w skład której wchodzą właśnie przeważnie kamienicznicy, na podobnie radykalny krok się z pewnością nie zdobędzie. Panowie radcy są w obawie, by nie stracili popularności, na której im szczególniej w okresie przedwyborczym zawsze bardzo zależy.

Że taka ingerencya władz autonomicznych byłaby z korzyścią dla ogółu, mamy dowód na miejskim składzie węgli, który przyczynił się do uregulowania cen opału, wyśrubowywanych przedtem przez węglarzy do niemożliwości. Drugim dowodem może być i staranie krakowskich instalatorów gazowo-elektrycznych, którzy radziby bardzo byli, aby miejska gazownia i elektrownia nie zajmowały się wcale robotami prywatnemi, ale ludność Krakowa oddały na pastwę ich karteli.

System podatkowy wpływa bez wątpienia także bardzo ujemnie na stosunki drożyźniane, w Austryi bowiem największym podatkiem obłożone są przedmioty do życia konieczne potrzebne, a każdorazowy minister, aby zatkać dziurę budżetową, wysila swą głowę i wynajduje coraz to nowe źródła dochodów, bardzo boleśnie odbijające się na kieszeni podatników. Takim dotkliwym podatkiem będzie opłata od zapałek, którą rząd stawia, jako *conditio sine qua non* równowagi budżetowej. Proponując podatek po trzy halerze od pudełka, czy jednak wyjdzie rząd na tem dobrze, wątpię bardzo, gdyż wówczas zmniejszy się ich konsumcya i eksport. Powrócimy do dawnych, dobrych czasów, kiedy to w każdym z domów płonęło ognisko domowe i obejdziemy się bez zapałek, które będą odtąd należały do przedmiotów zbytkowych. Na utrzymanie drożyzny wpływa także opór wielkich i małych agraryuszy, którzy ani rusz nie chcą się zgodzić na otwarcie granic państwa celem dowozu mięsa z Rumunii i Serbii.

Wobec takich warunków codziennego życia nic też dziwnego, że kradzieże mnożą się, jak grzyby po deszczu. Kto chce utrzymać siebie i rodzinę, wobec coraz większej drożyzny, będzie musiał wziąć w rękę pałkę i wytrych i pójść pracować w pocie czoła na kawałek codziennego chleba w tem przekonaniu, że jeśli nic nie zdobędzie, to przynajmniej zyska mieszkanie, wikt i opierunek na koszt wysokiego Rządu w gościnnych pokojach hotelu „Świętego Michała". Gdyby żył jeszcze ś. p. Lombroso, musiałby się zgodzić na moją teoryę, uznającą zbrodniarzy z konieczności.

Skoro zawadziłem już o świętego Michała (oby tylko nie spełniło się to kiedy w rzeczywistości), wspomnieć muszę o jednej bolączce, która trapi nasze społeczeństwo. Mimo mnożenia się przestępców i to przeważnie młodocianych, nie możemy się jakoś zdobyć na założenie kolonii poprawczej dla nieletnich zbrodniarzy, którzyby zamiast bezczynnego odsiadywania kary nauczyli się pracować. Dzisiejszy system zamykania przestępców w murach więziennych wpływa nader niekorzystnie na ich moralność, kryminał jest dla początkujących uniwersytetem, gdzie się uczą rozmaitych sztuczek, potrzebnych im potem w prowadzeniu lekkiego rzemiosła. Wydział krajowy posiada już majątek ziemski, Przędzielnicę, przeznaczony na założenie podobnej kolonii, zrealizowania jednak projektu ani rusz doczekać się nie możemy. Tacy Bukojemscy i inni młodociani przestępcy pod troskliwą opieką mogliby jeszcze wyróść na pożytecznych członków społeczeństwa, ci zaś, którzy jeszcze nie dostali się pod klucz, wystrzegaliby się wejścia w konflikt z ustawą karną, wiedząc, że czeka ich ciężka praca, a nie spokojne i bezczynne wylegiwanie się na pryczy więziennej.

Powinno także społeczeństwo wziąć się ostro do bojkotowania podniecających niepotrzebnie fantazyę sensacyjnych publikacyi w guście Nicka Cartera, Sherlocka Holmesa i podobnych, które wprawdzie napychają groszem kieszeń wydawcy, ale kaleczą nasz język i zatruwają duszę młodego pokolenia. W tym względzie powinna szkoła współdziałać z domem, pieniądze, które wyrzuca się na podobne szpargały, mogą znaleść gdzieindziej daleko lepsze zastosowanie.

Młodociana fantazya obecnego przeczulonego społeczeństwa, podniecona jeszcze chorobliwie podobnemi sensacyami, jest przyczyną, że niema prawie dnia, abyśmy nie dowiedzieli się o jakiej zbrodni, na wieść której aż włosy powstają na głowie. Mam tu na myśli świętokradzkie obrabowanie cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, tej narodowej świętości, która padła ofiarą niewyśledzonych dotąd zbrodniarzy. Bardzo nisko upadło już nasze społeczeństwo, jeśli wśród niego znalazły się indywidua, które mogły się odważyć na coś podobnego i pocieszamy się jeszcze nadzieją, że przecież nie byli to może swoi, ale obcy, którzy jednak dobrze wiedzieli, gdzie uderzyć, aby wywołać najboleśniejsze z uczuć. Kimkolwiek są owi świętokradzcy, widzimy że ludzkość, zamiast postępować naprzód, gwałtownie się cofa i stacza w przepaść... Dziwić się też trzeba, że zakonnicy z Jasnej Góry, znając przecież upadek moralny społeczeństwa i słysząc codziennie o zbrodniach, kradzieżach i rabunkach nie zorganizowali straży, któraby czuwała nad skarbami, powierzonymi ich pieczy, a będącymi własnością całego narodu. Władze wytężają swe siły, by sprawców dostać w swe ręce, nie minie ich też zasłużona kara. Całe społeczeństwo polskie, bez względu na przekonania, zjednoczyło się w oburzeniu, które podzielają i obcy nam wiarą i językiem, a wstrętem wspominając o ohydnej zbrodni.

Póki więc czas, należy pracować nad poprawą obecnych stosunków, wśród których pojawiają się podobne moralnie zwyrodniałe indywidua. Kryminał i szubienica nie naprawią społeczeństwa, jeśli niesięgnie się głębiej i nie zacznie się reformy od najniższych warstw, szerząc wśród nich oświatę i kulturę, bez których rozwój ludzkości jest dziś niemo żebny. Szkół nam potrzeba, w którychby siano ziarno zdrowe, a wyludnią się z czasem kryminały. Ofiary materyalne i moralne, jakie w tym względzie poniesiemy, opłacą się kiedyś stokrotnie.

Tymczasem nasze społeczeństwo nie zrozumiało dotąd doniosłości tej sprawy. Do spraw szkolnictwa, głównie ludowego, odnosi się z dziwną obojętnością, wychodząc z średniowiecznego zapatrywania, że szerokie warstwy ludu stworzone są do pracy fizycznej, która obejdzie się bez oświaty. Jeśli chcemy, by postęp był prawdziwy, nie żałujmy pieniędzy na szkoły i wynagradzajmy należycie nauczycieli, by z całym zapałem mogli się oddać swemu szczytnemu a trudnemu obowiązkowi, nie potrzebując się oglądać za tem, by módz zaspokoić swe najprymitywniejsze potrzeby. Co znaczy oświata, widzimy na zachodnich społeczeństwach, które nas dawno wyprzedziły w cywilizacyjnym rozwoju.

Takie smutne refleksye budzą się w duszy każdego, kto krytycznie zapatruje się na obecne położenie. Zle jest, każdy przyzna, może być nawet jeszcze i gorzej, powinno więc być staraniem całego społeczeństwa, a każdego osobnika w szczególności, by przecież działo się lepiej. Koniecznym jednak jest warunkiem, byśmy reformę zaczęli od samych siebie, a nie starali się najpierw poprawiać innych!

Oprócz tych kłopotów, że się tak wyrażę, domowych, oglądamy się ciągle i na zewnątrz, gdyż chociaż w Europie niby cicho, nie wiadomo, jak to mówią, co w trawie piszczy i z której strony obawiać się katastrofy. W miarę budowania balonów, łodzi podmorskich i dreadnoughtów zmieniają się ciągle konstelacye polityczne jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a politycy łamią sobie głowy, aby wytłómaczyć, co może znaczyć jakiś wypadek polityczny i jakie może mieć następstwa. Takiem zdarzeniem o światowem znaczeniu jest odbyty właśnie w Racconigi zjazd cesarza rosyjskiego z królem włoskim. Oczy całej Europy zwrócone są w stronę Włoch, które, jak się zdaje, wysuną się obecnie na pierwszy plan, co znów nie będzie wcale na rękę Austryi, która z Italią współzawodniczy na Bałkanie. Jak zwykle jednak, nie wiemy nic pozytywnego, urzędowe komunikaty są bardzo suche i lakoniczne zostawione więc pole do różnorakich domysłów i kombinacyi. Austryaccy politycy pocą się i z nieufnością spoglądają ku południowi, skąd już w ubiegłym roku dochodziły niepokojące wieści.

Może to jednakowoż dla monarchii austryacko-węgierskiej mieć i dobre następstwa, o tyle przynajmniej, że wobec niepewnego położenia zewnętrznego uspokoją się wewnętrzne niesnaski i przecież raz może ułoży się jakieś *status quo* między obydwiema połowami monarchii. O, bo Węgrzy, jeśli chodzi o ich interes, są nader wytrzymali i zawzięci i nie opuszczają ani chwili, by nie wytargować czegoś od Korony. Obie partye, konstytuayjna i niezawisłości, gotowe są do pertraktacyi, każda jednak ma torbę wypełnioną taką masą żądań najrozmaitszego gatunku i koncesyi, że, aby je zaspokoić, trzebaby zupełnie zmienić dotychczasowy ustrój państwa habsburskiego, na co znów, ze względu na mocarstwowe stanowisko Austro-Węgier, Korona zgodzić się absolutnie nie może. Ze stosunków tamtejszych wytworzyło się błędne koło, w którem błądzą austryaccy i węgierscy politycy, szukając na próżno wyjścia. *X.*

Zjazd w Racconigi.

(Do illustracyi na stronie 4).

Dobiegające w r. 1914 końca trójprzymierze austryacko-włosko niemieckie, w rzeczywistości już w d. 24 b. m., t. j. w dniu, w którym cesarz rosyjski Mikołaj II. stanął w zamku Racconigi, zakończyło swój żywot, wywołując wśród kół politycznych Austryi i Niemiec zrozumiałą i poważną obawę o przyszłość. Że zjazd w Racconigi w pierwszym rzędzie zwraca się przeciw Austryi, na to prócz zgodnej opinii prasy zagranicznej, wskazuje także ta okoliczność, że podróż cesarza rosyjskiego do Włoch odbywała się drogą możliwie najdłuższą, z wyraźną tendencyą ominięcia terytoryów austryackich. Ta okoliczność jest zbyt wiele mówiąca dla polityki oficyalnej Rosyi w przyszłości, tembardziej że już okres zatargu serbsko-austryackiego ujawnił dość naprężone stosunki między Austryą a Rosyą.

Że hr. Aerenthal, jako kierownik polityki zagranicznej Austryi, będzie miał wobec zmienionej konstelacyi politycznej trudny orzech do zgryzienia, nie ulega najmniejszej wątpliwości a w odniesieniu do Włoch znajdą się Austro-Węgry przy ewentualnem odnowieniu sojuszu w tem trudnem położeniu, że stroną, dyktującą warunki sojuszu, będą Włochy, a nie Austrya.

Nazywany popularnie „wujaszkiem“ król Edward, umie — jak się pokazuje — roztaczać misterną i tajemniczą sieć naokoło Niemiec i do celów polityki angielskiej wciągać poszczególne mocarstwa europejskie, w szeregu których dziś ostatecznie znalazły się i Włochy, aczkolwiek związane na razie sojuszem, w którego wartość wierzą może jeszcze naiwni.



Fot. M. Münz, Lwów.

Ku czci Słowackiego: Uroczyste odsłonięcie pomnika Słowackiego w Zamarstynowie pod Lwowem.

Ku czci Słowackiego.

Wśród mnóstwa obchodów, jakie w ostatnich dniach odbyły się w całym kraju ku czci nieśmiertelnego naszego Wieszcza, Juliusza Słowackiego, bardzo dodatnio wyróżniła się uroczystość w Zamarstynowie, jednej z podlwowskich gmin. Uroczystość ta rozpoczęła się w sobotę ubiegłą nabożeństwem dla młodzieży szkolnej w kościółku OO. Kapucynów. Po mszy św. przemówił od ołtarza O. Stepek, tłomacząc dziatwie znaczenie uroczystości i objaśniając zasługi Słowackiego. Następnie odbył się w szkole miejscowej poranek.

Właściwy obchód odbył się w niedzielę, przybierając nadspodziewanie duże rozmiary. Wiele domków udekorowano chorągwiami, a okna nalepkami z portretem Wieszcza. Kościółek OO. Kapucynów wypełniły tłumy publiczności, zajmując także obszerny plac przed kościołem. Po mszy św. i kazaniu, wygłoszonem przez złotoustego kaznodzieję O. Anioła, ruszył od kościoła ku szkole pochód, z kapelą narodową ze Lwowa na czele. Prócz tłumów ludności miejscowej wzięła w nim udział straż pożarna ochotnicza, Sokół III. ze Lwowa, Sokół kleparowski, dziatwa szkolna itd.

Pochód zatrzymał się przed pomnikiem Słowackiego, wznoszącym się tuż obok szkoły. Rozległy się dźwięki hymnu narodowego a równocześnie spadła zasłona, odkrywająca pomnik. Wówczas przemówił ks. dr. Dziedzielewicz, kreśląc piękną charakterystykę poety. Następnie zabrał głos przewodniczący miejscowego komitetu budowy pomnika, ks. Stepek, a po nim zastępca naczelnika gminy p. Sobczyński. Na zakończenie odśpiewała młodzież szkolna kantatę i „Marsz Legionów“.

Pomnik Kopernika.

Mimo całego szeregu niezbitych dowodów o polskiem pochodzeniu i polskiej narodowości wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika, Niemcy dotychczas anektują go na rzecz swej narodowości. Nawet znaleziony niedawno i ogłoszony list wielkiego uczonego, gdzie w ostrych słowach potępia politykę krzyżacką, piętnując przodków dzisiejszych hakatystów jako pospolitych rozbójników i rzezimieszków, nie ostudził ich zapałów.

Wskazuje na to wzniesienie nowego pomnika na cześć polskiego astronoma, w mieście Frauenburgu. Pomnik ten, którego podobiznę dziś zamieszczamy w naszem piśmie, jest pomysłu architekta niemieckiego Maksymiliana Meckla. Projekt jego „poprawił“ jednak cesarz Wilhelm II., skutkiem



Echa stracenia Ferrera: Ferrer i jego ostatnia miłość Soledad de Villafranca.



Pomnik Kopernika: Pomnik na cześć Kopernika we Frauenburgu, wedle projektu Meckla, z „poprawkami“ cesarza Wilhelma II.

czego pomnik Kopernika przedstawia się obecnie jako budowa niezgrabna i nieestetyczna.

Odsłonięcie odbyło się uroczyście przed kilkunastu dniami, wobecności cesarza Wilhelma II. Sensacyę podczas uroczystości stanowiło to, iż wymowny zwykle cesarz niemiecki, tym razem nie wygłosił żadnej mowy. Czyżby go wspomniany wyżej list Kopernika speszył?

Śmierć pod kołami samochodu.

Wstrząsający wypadek wydarzył się ubiegłej niedzieli w Warszawie na Nowym Świecie, a spowodowała go zbyt szybka jazda samochodu.



Krakowski aeroplan: Konstruktor Wincenty Schindler.

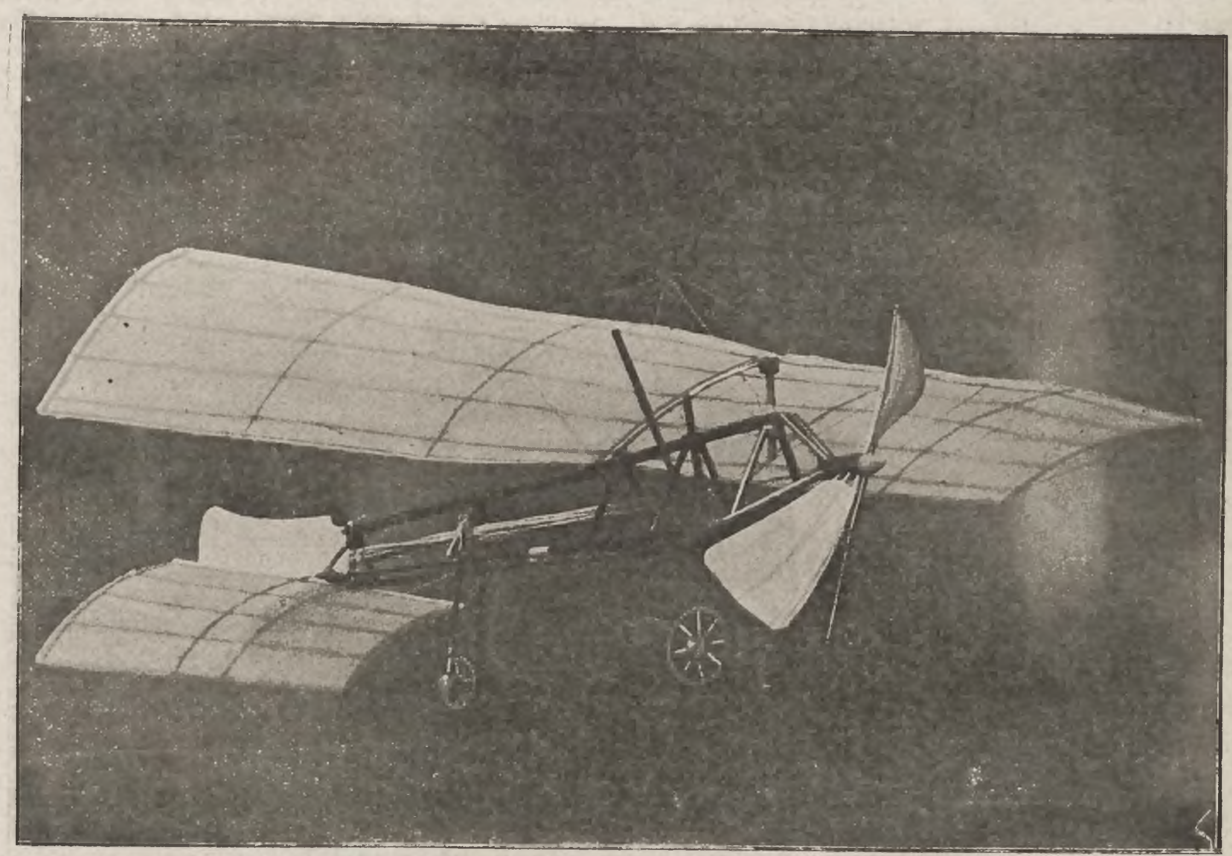
Ulicą Nowy Świat przechodził z jednej strony na drugą Konrad Sandecki, majster krawiecki, przełożony szkoły kroju przy ul. Św. Aleksandra l. 12. W chwili gdy Sandecki znajdował się w środku ulicy, nadjechał od Alei Jerozolimskich wóz tramwaju elektrycznego. Na skutek sygnałów dzwonkowych Sandecki cofnął się z szyn, ale równocześnie wpadł pod koła samochodu, który właśnie nadjechał w to miejsce z wielką szybkością. Upadek i uderzenie samochodu było tak silne, iż sprowadziło natychmiastową śmierć ofiary, a pogotowie ratunkowe mogło tylko stwierdzić smutny fakt.

Samochód, który spowodował fatalny wypadek, należał do właściciela garaży samochodów, p. Starzyńskiego.

Ofiara wypadku, ś. p. Konrad Sandecki, był człowiekiem w Warszawie znanym i ogólnie poważanym. Gruntowną znajomość fachu krawieckiego łączył z dość wysokiem ogólnem wykształceniem. Był też przez szereg lat kierownikiem szkoły kroju i na tem stanowisku wykształcił znaczny zastęp dzielnych majstrów krawieckich. Przez czas jakiś redagował czasopismo krawieckie.



Przesilenie gabinetowe w Hiszpanii: Były prezydent gabinetu, Maura.



Krakowski aeroplan: Lot modelu aeroplanu braci Schindlerów w sali krak. Tow. technicznego.

Przesilenie gabinetowe w Hiszpanii.

Stracenie Ferrera jako epilog rewolucyi barcelońskiej stało się końcem rządu reakcyjnego gabinetu p. Maury w Hiszpanii. W ubiegły czwartek Maura uzasadnił wobec króla Alfonsa swą dymisyę tem, że partya liberalna i demokratyczna oświadczyły w Izbie deputowanych, że użyją wszelkich środków, aby gabinet zmusić do ustąpienia. Decydującem dla gabinetu Maury było oświadczenie, jakie imieniem partyi liberalnej złożył jej przywódca Moret, który oświadczył, że partya jego zrywa wszelkie stosunki z rządem.

W takich warunkach nie pozostawało Maurze nic innego jak podać się do dymisyi. Król Alfons tem chętniej uczynił zadość prośbie Maury, że stracenie Ferrera nie przyczyniło się do zwiększenia jego popularności w Hiszpanii, dość już nadszarpanej wskutek nierozumnej i w kraju niepopularnej wojny z Kabylami. Król skorzystał z przesilenia i udzieliwszy dymisyi gabinetowi Maury, ster rządów oddał w ręce Moreta i liberałów.

Aeroplan krakowski.

Dwaj znani w Krakowie bracia, pp. Wincenty i Rudolf Schindlerowie, skonstruowali aeroplan własnego pomysłu i model wystawili w ubiegłym tygodniu w gmachu krak. Tow. technicznego na nieustającej wystawie budowlanej. W szeregu awiatorów zajmią oni z pewnością niepoślednie miejsce, bo ich latawiec jest pod wielu względami konstrukcyjnie doskonale pomyślanym.

Aeroplan braci Schindlerów należy do typu monoplanów, czyli jednopłaszczyznowych maszyn do latania. Ten typ aeroplanów okazał się najlepszym. Na ogół wzorowali się bracia Schindlerowie na aeroplanie „Libella“ Santos Dumonta.

Na razie we wtorek dnia 26 b. m. demonstrowali bracia Schindlerowie przed bardzo licznem audytoryum, złożonem z inżynierów i techników, a więc fachowców w sali posiedzeń krak. Tow. technicznego model swego aeroplanu, zbudowany z drzewa i papieru, wielkości 1 m., a więc dwanaście razy mniejszy od aeroplanu naturalnej wielkości, którego budowę wynalazcy już rozpoczęli. Miejsce motoru na modelu zastępowała taśma gumowa, która po nakręceniu wprawiała śrubę w ruch, a aeroplanik przebiegłszy po podłodze sali przestrzeń 1—2 metrów, wzbijał się w powietrze i przelatywał salę.

Zalety latawca braci Schindlerów polegają głównie na tem, że posiadać on będzie motor rotacyjny o sile 50-70 HP., a więc dostatecznie silny do nadania aeroplanowi należytej chyżości. Zdolność udźwigu aeroplanu obliczona jest na 2 osoby. Niskie umieszczenie motoru przenosi punkt ciężkośc do możliwie najniższej części latawca, czego dotychczas nikomu jeszcze nie udało się osięgnąć. To rozmieszczenie motoru i punktu ciężkości zapewnia maszynie olbrzymią stabilizacyę i wywrócenie latawca czyni wprost niemożliwem.

Ale nie tylko te zalety uderzają w modelu nawet zwykłego laika. Są i inne techniczne innowacye, które aeroplanowi pp. Schindlerów nadadzą pię-



Krakowski aeroplan: Konstruktor Rudolf Schindler.

tno wybitnie indywidualne. Oto rezerwoar z benzyną znajduje się pod samemi płaszczyznami, wskutek czego benzyna sama na mocy ciężkości, bez używania jakiejś pompki, może spływać do motoru. Chłodzenie powietrzne motoru jest przedewszystkiem ze względu na lekkość innowacyą doniosłej wagi. Większość wynalazców używa chłodzenia wodnego, co najpierw obciąża znacznie całą maszynę, a powtóre bardzo często jest powodem przymusowego lądowania awiatora celem odświeżenia wody.

Na uwagę zasługuje jeszcze umieszczenie siedzenia, środki zabezpieczające bezpieczne lądowanie i prosta konstrukcya steru. Siedzenie umieszczone jest w dolnej części maszyny tuż za motorem, a nie tuż pod skrzydłami, jak n. p. u Blériota. Zamiast sprężyn stalowych, zabezpieczających przy lądowaniu aeroplan przed wstrząśnieniem a ewentualnie nawet

przed rozbiciem, umieszczone są dwie pompy powietrzne, które w połączeniu z osią i kołami w zupełności gwarantują całość i bezpieczeństwo aeroplanowi przy lądowaniu. Umieszczenie kierownicy jest tak proste, że umożliwia ono sterowanie dowolne wszystkiemi częściami maszyny.

Obaj bracia wynalazcy, starszy Wincenty i młodszy Rudolf, już od dwóch lat zajmowali się studyami nad skonstruowaniem latawca, któryby rozwiązał problem komunikacyi powietrznej przy pomocy aeroplanów. P. Rudolf Schindler znanym jest w kołach techników jako zdolny inżynier budowy maszyn, a p. Wincenty jako niezwykle pomysłowy mechanik, który przed kilku laty był pierwszym Polakiem, budującym w kraju automobile. Wozy omnibusowe jego konstrukcyi dotychczas kursowały na kilku przestrzeniach w Królestwie Polskiem a i w samym Krakowie wiele osób posiadało mniejsze wozy automobilowe jego „budowy. Pod zas wystawy wyrobów



Epilog skandalów magistrackich w Warszawie: B. Śląski, były naczelnik kancelaryi prezydenta miasta.

metalowych w Krakowie został p. Wincenty Schindler odznaczony srebrnym medalem za łódź motorową własnej konstrukcyi.

Obu wynalazcom należy życzyć szczerze powodzenia w doprowadzeniu rozpoczętego dzieła do końca, którego sfinansowaniem zajął się impressario pp. Schindlerów, inżynier Marek Kautz.

Epilog skandalów magistrackich w Warszawie.

Dzięki prasie warszawskiej, która nie ustawała w zwalczaniu korupcyi, rozwielmożnionej w magistracie warszawskim, przekupni urzędnicy zostali zdymisyonowani, a sprawę w swe ręce ujął sędzia śledczy Guglński. Początkowo obwinieni grozili reprezentantom prasy warszawskiej skargą sądową i rozgłośnie twierdzili, że na tej drodze udowodnią swoją niewinność. Powoli jednak zdołali zapomnieć o groźbie s argi sądowej, a to tem bardziej, że przed nimi stanęło widmo rewizyi senatorskiej, stokroć gorszej w następstwach, niż wszystkie oskarżenia publiczne dziennikarzy.

Sprawa na razie po zdymisyonowaniu obwinionych przycichła, aż oto niespodziewanie w piątek ubiegły d. 22 b. m. wypłynęła znowu na światło dzienne, bo oto jeden z obwinionych, były naczelnik kancelaryi prezydenta miasta, p. Śląski, obecnie pozostający poza służbą, uważał za stosowne publicznie rozprawić się z jednym ze znanych dziennikarzy warszawskich, p. Fr. Rejnsztajnem, cenionym humorystą, który jako redaktor „Śmiechu“ dał się porządnie we znaki „skandalistom“ magistrackim.

Rozprawa nastąpiła zamiast w sądzie — na ulicy Brackiej. P. Śląski, spotkawszy redaktora Rejnsztajna, rzucił się nań z podniesioną laską, krzycząc: „mam cię, szpiclu dziennikarski!“

I byłby ceniony humorysta warszawski smutno wyglądał, gdyby nie to, że zanim został redaktorem „Śmiechu“, miał sposobność jako uczeń szkoły atletycznej zaznajomić się z nieznanymi pospolitemu ogółowi chwytami, a równocześnie przekonać się, że i sam rozporządza muskułami, którychby mu jeszcze mimo dość poważnego wieku, niejeden z młodych mógł pozazdrościć. To też napad uplanowany na p. Rejnsztajna spełzł na niczem, bo w okamgnieniu „atleta-humorysta“, zoryentowawszy się w sytuacyi, zdołał pewnym i zgrabnym chwytem ubez-



Epilog skandalów magistrackich w Warszawie: redaktor „Śmiechu“, Fr. Rejnsztajn.

władnić napastnika, a następnie wymierzyć sobie, odebraną napastnikowi laską, sprawiedliwość. Że pod gradem uderzeń p. Rejnsztajna p. Śląski legł zalany krwią na pobojowisku, nie potrzeba dodawać.

Podobno pobity napastnik mimo porady policyi zrezygnował z obrony na drodze sądowej swego, dwukrotnie przez p. Rejnsztajna, bo na łamach „Śmiechu“ i na swej skórze zaczepionego honoru.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska. Książeczkę bardzo na czasie wydała obecnie Macierz Polska. Tytuł jej „Śląsk cieszyński i jego odrodzenie narodowe.“ Autor jej, Stanisław Warcholik, przedstawił na kilkunastu stronach zwięźle dzieje Śląska, poczem skreślił w sposob barwny i pouczający stosunki ekonomiczne, oświatowe i narodowościowe na Śląsku, cieszyńskim. Książeczkę zdobi szereg rycin (do niektórych robione umyślne zdjęcia fotograficzne,) nadto dla oryentacyi czytelnika dołączono mapkę Księstwa. Dziełko liczy 5 arkuszy druku, cena jego 50 hal. Jest to 50 ty numer Biblioteki Macierzy Polskiej.

Głosy publiczne.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 42.

Szarada: Zapałki.

Łamigłówka literacka: Abgar Sołtan.

Logogryf: Nie wszystko złoto, co świeci.

Arytmograf trójkątny: Kraszewski.

Zadanie do przestawienia: Przyszła kreska na Matyska.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Kalinowska Łódź, W. Ostrowski Sandomierz, M. Łyszkowski Radom, K. Świrski Maków, L. Łaszkiewiczowa Trzcinica, M. Zabieszewska Kraków, K. Fuchs Czeremchów, W. Hostynek Kraków, W. Rapacz Żarki, M. Kościński Żarki, K. Lubecki Trzemeszno, S. Schmidt Lwów, W. Olszewski Kraków, K. Dłużyński Ciężkowice, E Sawicki Skała, Z. Kozicki Radłów, W. Tabaczyńska Bytom, J Cholewicz Kraków, M. Klappholz Rzeszów, W. Potocka Kraków, B. Berger Lwów, J. Retter Rzeszów, S. Knapik Kołomyja, J. Nowacki Krosno, B. Orzechowski Przemyśl, K. Leskowacki i J. Wolski Przemyśl, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Krosno, K. Lemański Warszawa, Z. Ciechanowski Stary Sambor, Z. Koniński Petersburg, J. Grochowski Wiśnicz, K. Steurmann Warszawa, L. Glińska Kalisz, S. Topolnicka Rzeszów, R. Herz Trembowla, M. Rybicka Tarnów, M. Stępień Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, F. Urban Nowy Sącz, S. Zaremba Lwów, J. Wojciechowski Lwów, M. Krokowski Opatów, J. Łopatyński Kołomyja, Z. Wiśniewski Rzeszów, W Ryznerska Tarnów, S. Krzyżanowski Kraków, B Malicki Kraków, M. Jasiński Lwów, J. Ostersetzer Lwów, S. Sokołowski Tarnobrzeg, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, M. Mochnacki Koło, L. Solecki Kraków, W. Brzozowski Lisko, M. Orlińska Kraków, B. Grzesińska Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **M. Olszewski Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Soldatesca.

Oddział piechoty miał za zadanie rozstawić w polu warty t. zw. *feldwachy.* Jednoroczny ochotnik, który znalazł się z kilku żołnierzami obok stojącej w polu samotnie gruszy, kazał jednemu z nich, aby wyspinał się na drzewo i stamtąd obserwował, czy nie dojrzy gdzie nieprzyjaciela.

Gdy infanterzysta Kozik znalazł się już prawie na samym wierzchołku, jednoroczny pyta go jeszcze raz:

— No, Kozik, a na co masz uważać?

— Melduje posłusznie, panie kaprol, żebym nie spod na ziemie! — brzmiała odpowiedź.

Złośliwy.

— Panie Krytykiewicz, co pan sądzi o naszym powieściopisarzu panu X.?

— Ha! Nic! Sądzę jednak, iż ten człowiek nie dostanie się nigdy do nieba!

— O...! A to dlaczego?

— Wszak religia nas uczy, że tylko *dobre dzieła prowadzą do niebios!*

W sądzie.

— A kto był przy tem obecny, gdy oskarżony bił panią?

— On, panie sędzio dobrodzieju, i ja!

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

8 (Ciąg dalszy).

W kilka minut potem Beautrelet siadł na rower i oddalał się od zamku. W Dieppe zatrzymał się przed redakcyą dziennika *La Vigie*, gdzie przejrzał ostatnie numery z dwóch tygodni. Potem ruszył do miasteczka Envermeu, odległego o dziesięć kilometrów. Tam porozmawiał z merem, z proboszczem i dozorcą polnym. Trzecia godzina biła na kościelnym zegarze, gdy skończył swe badanie. Powracał, nucąc z radości. W dali przed nim ukazało się Ambrumesy. Ze wzgórza, które leży przed zamkiem, puścił się całym pędem. Nagle krzyknął przeraźliwie. Przed oczyma mignął mu sznur, przeciągnięty od jednego drzewa do drugiego przez szerokość drogi. Rower zatrzymał się jak wbity, on zaś wyleciał naprzód o trzy metry z niesłychaną siłą i tylko dzięki cudownemu wypadkowi nie upadł na znajdujący się tutaj stos kamieni, na którym musiałby sobie głowę roztrzaskać. Przez kilka minut nie ruszył się z miejsca, cały oszołomiony. Potem podniósł się i rozejrzał w koło. Z prawej strony był lasek, w którym skrył się zapewne napastnik. Beautrelet odwiązał sznur. Na drzewie, do którego on był przywiązany, wisiała przybita gwoździkiem złożona kartka. Zdjął ją i przeczytał:

„Trzecie i ostatnie ostrzeżenie“.

Wrócił do zamku, zadał kilka pytań służącym i udał się do sędziego śledczego, który podczas swych czynności siedział zawsze w jednym z pokoi w parterze prawego skrzydła. Pan Filleul pisał coś, mając przed sobą swego pisarza. Na dany znak pisarz wyszedł.

— Co panu się stało, panie Beautrelet? Pańskie ręce są w krwi — zawołał przestraszony sędzia.

— To nic, drobnostka... upadek, spowodowany sznurkiem, jaki znalazłem przeciągnięty w poprzek drogi. Proszę na to tylko zwrócić uwagę, że ten sznur pochodzi z zamku. Jeszcze przed dwudziestu minutami służył on do wieszania bielizny.

— Czy to możebne?

— Panie sędzio, ja tutaj jestem ciągle strzeżony przez kogoś, kto mnie widzi, słyszy, jest przy mnie każdej chwili i zna moje zamiary.

— Tak pan sądzi?

— Tego jestem pewny! Pan to winien odkryć, a nie będzie to przedstawiało dla pana żadnych trudności. Co do mnie, to chcę już skończyć i dać panu przyrzeczone wyjaśnienia. Szybciej szedłem, niż tego spodziewali się nasi przeciwnicy i przekonany jestem teraz, że zaczną działać energiczniej. Koło zacieśnia się przy mnie. Niebezpieczeństwo zbliża się, przeczuwam je.

— Ależ, panie!

— Przekonamy się. Narazie spieszmy się. Przedewszystkiem jedno pytanie, co do którego chcę się zaraz upewnić. Pan nie wspominał nikomu o dokumencie, który brygadyer Quevillon znalazł i wręczył panu przy mnie?

— Nie, nikomu. Czy pan przywiązuje do niego jakąś wartość?...

— Wielką on ma dla mnie wartość. Jest to myśl, nie oparta jeszcze na żadnych danych... gdyż nie udało mi się jeszcze odcyfrować tego papieru. Chcę teraz o nim pomówić, by już do niego nie wrócić.

Beautrelet dotknął się nagle ręki pana Filleula i szepnął cicho:

— Cicho... podsłuchują nas...

Zaskrzypiał piasek. Beautrelet podbiegł do okna i wyjrzał.

— Niema już nikogo... ścieżka jednak podeptana... łatwo można zdjąć odcisk trzewików.

Zamknął okno i siadł.

— Widzi pan sędzia, że nieprzyjaciel nie zachowuje nawet ostrożności... brak mu czasu... i on czuje, że godzina zbliża się... Spieszmy się i mówmy, ponieważ oni nie chcą, bym mówił.

Położył na stole przed sobą znaleziony dokument.

— Naprzód jedna uwaga. Na papierze tym oprócz punktów są tylko cyfry. W pierwszych trzech liniach i piątej, tem tylko będziemy się zajmowali, gdyż czwarta jest zupełnie odmienną od nich, niema cyfry wyższej ponad 5. Możemy więc przypuszczać, że każda z tych cyfr przedstawia jedną z pięciu samogłosek i przytem w porządku alfabetycznym. Napiszmy, jak to będzie wyglądało.

Zanotował na kawałku papieru:

```
e . a . a . . e . . e . . a . . a . .
a . . . e . e .   . e . oi . e . . e .
. ou . . e . o . . . e . . e . o . . e .
ai . ui . . e           . . eu . e
```

— Nic to nam jeszcze nie daje. Klucz do tego jest zarazem bardzo łatwy, gdyż samogłoski zastąpiono cyframi, a spółgłoski punktami i bardzo trudny, prawie niemożliwy, ponieważ niema tutaj innych komplikacyi, któreby mogły właśnie coś wyjaśnić.

— Rzeczywiście, że jest to dość ciemne.

— Postarajmy się wyświetlić to. Druga linia podzielona jest na dwie części i druga jej część wygląda tak, jakgdyby stanowiła jedno słowo. Jeżeli spróbujemy zastąpić punkty spółgłoskami, okaże się po wielu wysiłkach, że możemy tu postawić tylko te spółgłoski, które razem z samogłoskami stanowić będą jedno słowo: „demoiselles“ (panny).

— Chodzi więc tutaj o pannę de Gesvres i pannę de Saint Veran.

— Z wszelką pewnością.

— A nie widzi pan tutaj nic innego?

— Owszem! W ostatniej linii widzę także przedział i jeżeli zastosuję tę samą pracę do początku linii, spostrzegę, że między dwoma dyftongami *ai* i *ui* jedna tylko spółgłoska zamienić może punkt i jest nią *g*; jeżeli słowo to tak się zaczyna: *aigu*, naturalnem zupełnie okazuje się, że zamiast dwoch następnych punktów stawiam dwa *l* i wychodzi *aiguille* (igła).

— Istotnie... słowo *aiguille* samo się nasuwa.

— Wreszcie co do ostatniego słowa mamy trzy samogłoski i trzy spółgłoski. Podstawiam wszystkie po kolei litery i wychodząc z zasady, że pierwsze dwie muszą być spółgłoskami, stwierdzam, że tylko te cztery słowa mogą się nadawać: *fleuve, preuve, pleure* i *creuse*. Odrzucam pierwsze trzy, jako nie mające żadnego związku z igłą, a zachowuję słowo: *creuse*, wydrążona.

— Stanowi to igła wydrążona. I co z tego? Zgadzam się, że pańskie rozwiązanie jest prawdziwe, gdyż nie może niem nie być, lecz w czem ono posuwa nas naprzód?

— W niczem — odrzekł Beautrelet zamyślony. — Narazie w niczem... a co później, to zobaczymy... Zdaje mi się ciągle, że wiele rzeczy zawartych jest w tych dwóch tajemniczych słowach: wydrążona igła. Obecnie zajmuje mnie najwięcej papier, na którym dano nam do rozwiązania tę tajemnicę... Czy wyrabiają jeszcze podobnego rodzaju pergamin z tym odcieniem kości słoniowej? A te załamania?... Natarcia brzegów?... I te pieczęcie z czerwonego wosku na odwrotnej stronie?...

W chwili tej Beautreletowi przerwał pisarz Bredoux, który otworzył drzwi i oznajmił niespodzianie przybycie głównego prokuratora.

Pan Filleul powstał.

— Znowu? Pan prokurator na dole?

— Nie, proszę pana sędziego, pan prokurator nie wysiadł z powozu. Przejeżdża tylko przez Ambrumesy i prosi, by pan zechciał podejść do niego do ogrodzenia. Ma tylko jedno słowo do powiedzenia.

— Dziwne — szepnął pan Filleul. Zresztą... zobaczymy. Przepraszam, panie Izydorze, idę i zaraz wracam.

Poszedł. Gdy ucichł odgłos jego kroków, pisarz Bredoux zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni.

— Cóż to znowu! — zawołał Beautrelet zdziwiony, co pan robi? Dlaczego pan zamyka?

— Czyż tak nie lepiej będziemy mogli porozmawiać? — roześmiał się Bredoux.

Beautrelet skoczył do drugich drzwi wychodzących do sąsiedniego pokoju. Zrozumiał. Spólnik — to Bredoux, pisarz sędziego śledczego.

Bredoux szydził:

— Nie łam sobie palców, mój młody przyjacielu, mam klucz i od tych drzwi.

— Pozostaje okno, zawołał Izydor.

— Za późno — odparł Bredoux i oparł się o framugę z rewolwerem w ręku.

Wszelka ucieczka została przecięta. Nic mu nie pozostawało, jak tylko bronić się przed nieprzyja-

cielem, który tak nagle i tak śmiało zdemaskował się. Izydor, przejęty bezwiednie lękiem, skrzyżował ręce.

— Dobrze, mruknął pisarz, a teraz nie zwlekajmy. Spojrzał na zegarek.

— Ten poczciwy Filleul pójdzie aż do bramy. Ma się rozumieć, że tam nie zobaczy nawet kulawego psa prokuratora. Mamy więc do jego powrotu cztery minuty. Wystarczy mi jedna, by skoczyć przez to okno, uciec przez małe drzwi w murze i puścić się na motocyklu, który tam na mnie już czeka. Pozostają więc trzy minuty i tych będzie dosyć.

Było to śmieszne stworzenie, z trudem utrzymujące na bardzo długich i cienkich nogach ogromny i okrągły jak ciało pająka tułów z krótkiemi, mocnemi rękami. Twarz ospowata, czoło niskie, wskazujące na upór i słabo rozwiniętą inteligencyę, a krótki gruby nos, świadczył, że jest to człowiek, który nie cofnie się przed niczem.

Beautrelet zachwiał się i musiał usiąść.

— Niech pan mówi. Czego pan chce?

— Papieru. Już trzy dni go szukam.

— Nie mam go.

— Kłamiesz. Gdym wchodził, widziałem, że chowałeś go do portfelu.

— Potem?

— Potem. Przyrzekniesz, że pozostaniesz rozsądny. Nudzisz nas. Pozostaw nas w spokoju i zajmuj się swemi sprawami. Brak już nam cierpliwości.

Postąpił naprzód z rewolwerem, ciągle wymierzonym do młodego ucznia, wymawiając swe słowa z jakąś zaciętością. Wzrok jego był ponury a uśmiech groźny. Beautrelet zadrżał. Poraz pierwszy doznawał wrażenia niebezpieczeństwa. I jakiego niebezpieczeństwa! Czuł się wobec nieubłaganego wroga o ślepej nieprzepartej sile.

— A potem? — rzekł złamanym głosem.

— Potem? nic... będziesz wolny... Zapomnimy. Milczenie, poczem Bredoux naglił:

— Dłużej ani minuty! Decyduj się. Dosyć głupstw, mój kochanku... Jesteśmy najsilniejsi zawsze i wszędzie... Prędko papier...

Izydor nie ruszał się. Blady i przestraszony panował jednak nad sobą. Na dwadzieścia centymetrów przed jego oczami świecił się czarny otwór lufy rewolweru, na cynglu oparty był palec, dosyć było jednego ruchu...

— Papier, powtórzył Bredoux... Inaczej...

— Jest — rzekł Beautrelet.

Wyjął z kieszeni portfel i podał go pisarzowi, który go gwałtownie pochwycił.

— Doskonale! Jesteśmy rozsądni. W istocie, można z tobą przyjść do ładu... Powiem o tem towarzyszom. A teraz zamykam. Do widzenia.

Schował rewolwer i otworzył klamrę okna.

Na korytarzu rozległy się czyjeś kroki.

— Do widzenia — rzekł w sam czas.

Nagle zatrzymała go jakaś myśl. Zajrzał do portfelu.

— Do stu dyabłów! — zaklął, tyś mnie okpił... papieru tu niema.

Skoczył znowu do pokoju.

Zabrzmiały dwa strzały. Teraz Izydor skorzystał ze swego rewolweru i strzelił.

— Chybiłeś kochanku — krzyknął Bredoux — ręka twa zadrżała... boisz się...

Schwycili się w pół i runęli na podłogę.

Do drzwi walono silnie pięściami.

Izydor słabł, pokonany odrazu przez swego przeciwnika. Był to koniec. Uniosła się nad nim ręka z nożem i spadła na niego. Silny ból zapiekł go w łopatkę, stracił siły. Miał wrażenie, że szukano w wewnętrznej kieszeni jego marynarki i zabrano dokument. Potem mignął mu w przymkniętych powiekami oczach jakiś cień i znikł przez okno...

Te dzienniki, które na drugi dzień rano podawały ostatnie wypadki, zaszłe w Ambrumesy, o krypcie w kaplicy, odkryciu zwłok Arseniusza Lupina i wreszcie o napadzie pisarza Bredoux na Beautreleta, podały i dwie następujące nowiny: Zniknięcie Ganimarda i porwanie w dzień, w samym środku Londynu, Sherlocka Holmesa, gdy udawał się do pociągu, odchodzącego do Douvres. Tak więc banda Lupina, na chwilę zdezorganizowana przez niezwykły spryt młodego chłopca, znowu zaczęła swe ataki i od pierwszej chwili stała się, jak dawniej, zwycięską. Dwaj wielcy przeciwnicy Lupina: Ganimard i Sherlock Holmes, przepadli. Izydor Beautrelet ubezwładniony. Sprawiedliwość bezsilna. Nikt już nie czuje się na siłach do walki z takim nieprzyjacielem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Zanim się *pierwszy* odbędzie i uda
Najrozmaitsze prawią o nim cuda
I połowica głowę ci wciąż suszy.
Ale, w nierówną nie wdawaj się walkę,
Wyszukaj sobie jaką piwną salkę,
Gdzie kelnereczki o przeróżnej tuszy
Z za *drugiej trzeciej* na cię spoglądają
I ząbki szczerząc, bombki napełniają.
Czwartej wspak trzeciej strzeż się jednak oczu
Bo już niejeden w ich modrem przeźroczu
Utonął. Jeśli ocalisz co floty,
Idź do teatru, dzisiaj *całość* grają,
Nie braknie chyba do pójścia ochoty,
Chwalą tragedyę wszyscy, co ją znają.

Arytmograf.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

W miejsce liczb wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu.

```
        c   d
        12  14
        10   4
a 1 2 3  4   5  6 7
         6  11
b 8 2 9  6  10  5 11
        13  12
         4   1
```

Znaczenie wyrazów: a). Popularny dziennik paryski. b). Ryba. c). Grono ludzi, rozstrzygających pewną kwestyę. d). Jeden z bohaterów Iliady.

Logogryf.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Środkowy rząd odpowiednio wynalezionych wyrazów, czytany z góry na dół, ma dać pseudonim znanego warszawskiego publicysty.

```
      □
    — □ —
  — — □ — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
  — — □ — —
    — □ —
      □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto w Prusach Wschodnich. 3. Imię męskie. 4. Córka Aetesa, króla Kolchidy. 5. Metal. 6. Rzemieślnik 7. Przyrząd do wieszania. 8. Choroba nerwowa. 9. Rada ministrów w Turcyi. 10. Miejsce pobytu Kmiciców 11. Mnich buddajski. 12. Składnik dymu, znany środek przeciwgnilny. 13. Miasto na Litwie. 14. Moneta hiszpańska. 15. Rzeka w Rosyi. 16. Samogłoska.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

— Mamo! W trzeciej pierwszej mucha!
— To ją wyjmij! — Ależ mama
Zawsze... garnuszek bez ucha!
— Proszę, proszę, jaka dama!
Nie pij! widzisz, siostra chora,
Rozpalone drugie-trzecie,
Muszę posłać po doktora,
Lulaj, lulaj moje dziecię
. . . .
Całość zgadnąć, to nie nowość!
Nie zaboli z tego głowa,
Bo to sławna jest miejscowość.
Niedaleko od Krakowa!

Zadanie konikowe.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.
(Z „Pieśni o domu naszym“).

krew	dzia	prze	dom	ści	nie	i	w wę
i	cha	bo	dów	sto	się	zło	ci
mi	dzia	jej	ży	ma	śmier	glach	wszyst
ru	i	a	jej	ko	je	wia	kie
dów	w zie	kość	w two	dla	choć	kie	swo
sto	wie	two	ści	a	ich	wszyst	ry
cha	we	ków	i	dla	bu	rwie	trzy
za	do	du	krwi	wie	ma	i	rze

Łamigłówka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Z liter zawartych we wyrazach: cepy, ar, oko, ułożyć dwa nazwiska, powszechnie teraz w świecie powtarzane.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył K. J. Sokołowski, Śniatyn.

Z liter zawartych w wyrazach: kir, szewc, ksieni, siew, prusak, z, utworzyć nazwiska trzech polskich powieściopisarzy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Julinsza Verne:* **Naokoło księżyca.** Wydanie nowe z illustracyami.